Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 7 marca 1948 r. Nr 10 (131)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

7. III 48

LAMARTINA ODRZUCENIE CHORĄGWI CZERWONEJ ZŁY ZNAK. ON WIE INSTYNKTEM CO ONA ZNACZY I LUD WIE

Adam Mickiewicz

TREŚĆ NUMERU:

PAWEŁ HERTZ — **DWIE MOWY ROSJAN**

RYSZARD MATUSZEWSKI — **KUKUŁCZE JAJO**

ADAM BROMBERG — **ROK PRACY W POJEDYNKĘ**

ALEKSANDER HERTZ — **KSIĄŻKA NAUKOWA — POPULARNA I NIEPOPULARNA**

ANDRZEJ BRAUN — STANISŁAW WYGODZKI — **WIERSZE**

JAN HUSZCZA — **WE WŁADYSŁAWOWIE**

MIECZYSŁAW JASTRUN — **PAMIĘTNIK ARTYSTY**

ADOLF SOWIŃSKI — **ARTYSTYCZNY KOMENTARZ DO NORWIDA**

ZENON WIŚNIEWSKI — **SURIKOW**

ANIELA MIKUCKA — **Z ROZWAŻAŃ NAD LITERATURĄ DLA DZIECI**

STEFAN OTWINOWSKI — **LIST Z KRAKOWA**

KAJETAN KOTOWICZ — **FELIETON GOSPODARCZY**

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

STULECIE WIOSNY LUDÓW

H. Daumier — Ostatnie posiedzenie Rady Ministrów

H. Daumier — „Lud na tronie"

„Ostatni szczątek oficjalny rewolucji lutowej, komisja wykonawcza, rozwiał się jak miraż wobec grozy wypadków. Ognie sztuczne Lamartina zmieniły się na ogniste rakiety Cavaignaca. Fraternité, braterstwo przeciwnych klas, z których jedna wyzyskuje drugą, to braterstwo, proklamowane w lutym, wypisane wielkimi literami na czole Paryża, na każdym więzieniu, na każdych koszarach — dziś znalazło swój prawdziwy, niesfałszowany, prozaiczny wyraz. Jest nim wojna domowa, wojna domowa w swej najstraszliwszej postaci, wojna pomiędzy pracą a kapitałem. To braterstwo płonęło we wszystkich oknach Paryża, wieczorem 25 czerwca, gdy Paryż burżuazji był iluminowany, podczas gdy Paryż proletariatu palił się, broczył krwią, rozbrzmiewał jękiem. Braterstwo trwało tylko dopóty, dopóki interes burżuazji zgadzał się z interesem proletariatu. — Pedanci dawnej tradycji rewolucyjnej z r. 1793, systematycy socjalistyczni, którzy żebrali u burżuazji o łaski dla ludu i którym pozwolono dopóty wygłaszać kazania i kompromitować się, dopóki trzeba było usypiać proletariackiego lwa, republikanie, którzy chcieli zachować cały ustrój burżuazyjny z wyjątkiem jego ukoronowanej głowy, opozycjoniści dynastyczni, którym przypadek zamiast zmiany ministerium dał upadek dynastii, legitymiści, którzy nie chcieli zrzucić liberii, lecz tylko zmienić jej krój, — oto byli sprzymierzeńcy, z którymi lud walczył w dniach lutowych.

(Karol Marks „Nowa Gazeta Reńska")

* * *

Gdy wybuchła rewolucja lutowa, wszystkie nasze wyobrażenia o warunkach i przebiegu ruchów rewolucyjnych znajdowały się pod silnym wpływem dotychczasowego doświadczenia historycznego, a w szczególności doświadczeń Francji. Te doświadczenia wywierały właśnie wpływ na całą historię europejską od roku 1789, a i teraz znowu hasło do ogólnego przewrotu wyszło z Francji. Było więc rzeczą zrozumiałą i nieuniknioną, że nasze wyobrażenia o naturze i przebiegu proklamowanej w lutym 1848 r. w Paryżu rewolucji „socjalnej", rewolucji proletariatu, były silnie zabarwione wspomnieniami jej poprzedniczek z roku 1789—1830. A kiedy potem ruch paryski znalazł swój odgłos w zwycięskich powstaniach w Wiedniu, Mediolanie, Berlinie, gdy cała Europa, aż do granic rosyjskich wciągnięta została w ten ruch; gdy potem w czerwcu odegrała się w Paryżu pierwsza wielka bitwa o panowanie pomiędzy burżuazją a proletariatem; gdy nawet zwycięstwo burżuazji tak wstrząsnęło tą klasą w innych krajach, że znowu rzuciła się ona w objęcia dopiero co obalonej reakcji monarchiczno-feudalnej, wówczas nie wątpiliśmy, że rozpoczęła się wielka, rozstrzygająca walka, że zajmie ona długi i pełen zmian okres rewolucyjny, lecz że skończyć się może tylko wraz z ostatecznym zwycięstwem proletariatu.

(Karol Marks „Walki klasowe we Francji")

* * *

Położenie Europy jest takie, że odtąd staje się niepodobieństwem, by jakiś lud kroczył odosobniony po drodze postępu, pod grozą, że się sam zgubi, narażając tym sposobem sprawę wspólną.

Wrogowie ludu w Europie nie przestali działać solidarnie; co chwila czynami stwierdzają tę solidarność.

Znając lepiej niż ktokolwiek swoje wspólne niebezpieczeństwo, teraz bardziej niż kiedykolwiek trzymają się z sobą. Taktyka ich polega na używaniu wszystkich swoich sił rządowych przeciw każdej z narodowości wyzwalających się z osobna i na zgniataniu w ten sposób jednych po drugich i jednych przez drugie. Ich plany, od dawna powzięte, ujawniają się dopiero w wykonaniu; opierają się one na ścisłych danych, według których obliczono wszystkie egoistyczne interesy rządów, równie jak jednostek, które nie wywierają wpływu i wymierzono stopień ambicji, która im wszystkim służy za pobudkę działania.

Wrogowie ludu w Europie mają możnych pomocników, przez których działają na samo centrum ruchu ludowego; mają pomocników we Francji, w narodzie, który jest wielką armią idei i interesów ludowych Europy, gdyż wszyscy, przyjaciele i nieprzyjaciele, przyznają Francji inicjatywę europejską. I również we Francji znajdują się nasi najbardziej oddani przyjaciele, a także najzręczniejsi, najsilniejsi z naszych wrogów.

(Adam Mickiewicz „Trybuna Ludów")

W następnym numerze „Kuźnicy" w związku ze Stuleciem Wiosny Ludów ukażą się prace:

WITOLDA KULI — „Gospodarcze podłoże Wiosny Ludów"
WITOLDA ŁUKASZEWICZA — O wiośnie ludów
TADEUSZA HOŁUJA — Tułacze i Ziemia
(fragment powieści o Gromadzie Grudziąż)

Dyktator (karykatura Cavaignaca)

Tymczasowy Rząd z 24. II. 1848: Blanc, Flocon, Cremieux, Marrast, Albert, Garnier-Pages, Arago, Ledru-Rollin, Dupont de l'Eure, Marie, Lamartine

Ludwik Napoleon jako kandydat prezydenta Karykatura z „Journal pour Rire"

PAWEŁ HERTZ

DWIE MOWY ROSJAN

NIE LUBIĘ antologii. Pamiętam je — grube, bogato oprawne tomy „Polskiej pieśni miłosnej" lub skromne i poczciwe, jak na okres wykluwającego się pozytywizmu przystało, książki „Złotej przędzy". Do rozpaczy doprowadzały mnie zbiory niemieckiej liryki z obfitymi złoceniami na grzbiecie. Nie lubię antologii ani wyborów, bo podejrzewam zawsze, że prezentują one poezję od jakiejś jej jednej strony, bo nie mam pewności, czy wolno mi wierzyć w smak tego, kto wybierał z kilkuset najpiękniejszych wierszy danej liryki rzeczywiście te, które na wybór najbardziej zasłużyły.

Antologia jest przede wszystkim sprawą umiejętności wyboru i oczywiście kryterium wyboru. Moje kryteria wyboru w liryce tak rzadko pokrywały się z doświadczeniami antologistów, że rychło porzuciłem „Złotą przędzę", „Sto lat myśli polskiej" lub inne muzea poetyckie, gdzie niby eksponaty na wystawie spoczywają w witrynach żmudnych opracowań, a częściej suchych dat urodzin i śmierci, myśli i uczucia poetów. Oczywiście jednak, że w dniu w którym wstąpiłem do starego antykwariatu na nieistniejącej dziś Świętokrzyskiej, szukając zawzięcie tomów Lenartowicza czy zapomnianego Jana Nepomucena Kamińskiego, zarówno wiedzę o tych poetach, jak i smak do ich wierszy zaczerpnąłem właśnie z owych nielubianych przeze mnie antologii. Czasem dostrzeżony gdzieś w jakichś wypisach czy starej chrestomatii ułamek wiersza, przytoczony jako przykład którejś z poetyckich figur, zachęcał do odszukania wśród antykwarycznych półek pełnego egzemplarza dzieł poety. W ten sposób zapoznałem się przed laty z Cyprianem Norwidem.

Tak więc bywały mi antologie rodzajem beadeckera po nieznanej krainie poezji. Myślę, że to spostrzeżenie nie jest wyłącznie moim udziałem. Gdy biorę do ręki najpiękniej wydaną od roku 1945 książkę polską i odczytuję jej tytuł „Dwa wieki poezji rosyjskiej", wiem, że tym razem rzecz będzie się miała odwrotnie.

Antologia nie będzie mi przewodnikiem wśród zmiennych krajobrazów rosyjskiej poezji. Znam bowiem większość tych poetów, których wiersze wybrali nader starannie dla polskiego czytelnika Mieczysław Jastrun i Seweryn Pollak. Czytałem je w czasach nienajłatwiejszych, poczynając od zimy 1942 roku, w warunkach nie najbardziej sprzyjających lekturze, w bibliotekach rozmaitych miast Związku Sowieckiego. Na tę emigrancką lekturę pozwalały mi frontowe trudy milionów sowieckich żołnierzy, broniących na linii Wołgi — linii Puszkina i Tołstoja, a zarazem całej naszej cywilizacji europejskiej. Dlatego nie narzekam na zimną salę biblioteki taszkenckiej, gdzie bibliotekarz nie dziwił się, że w surowe dni wojny proszę o tom starego Dzierżawina lub o starannie wydane w dni porewolucyjne książki Mandelsztama lub Borysa Pasternaka. W Ałma-Ata czytałem Niekrasowa, w Kirgizji udało mi się znaleźć „Wieczory nietutejsze" Michała Kuzmina, przywódcy pokolenia poetyckiego po roku 1905. W Samarkandzie poetycki dział wojewódzkiej biblioteki, gdzie pracowałem, był bardzo bogaty. Czytałem Majakowskiego i Chlebnikowa, wspominając przyjaciół-poetów, którzy tłumaczyli ich wiersze na polski w pozornie spokojne lata przedwojenne. Kiedyś wreszcie udało mi się kupić przypadkiem tom Puszkina ze zbiorowego wydania „Akademii". Był to „Eugeniusz Oniegin" w formacie kieszonkowym. Przewiozłem go przez wszystkie perypetie moich lat emigracyjnych; dziś stoi spokojnie na półce bibliotecznej i oczekuje swoich towarzyszy — pozostałych tomików tego pięknego i trudnego do zdobycia wydania jubileuszowego. Ale dość już tych bibliotecznych wspomnień. Notuję je dlatego, żeby powiedzieć czytelnikowi tej pięknej książki wierszy rosyjskich na którą złożyła się praca kilkudziesięciu poetów polskich — od Mickiewicza po współczesnych — że poezja rosyjska jest mi znajoma i bliska. Poznałem ją w czasie niełatwym, wytrzymała próbę czasu, pomogła mi przetrwać, bo przecież, jak to pisał niedawno ktoś z moich przyjaciół, nie wiadomo co komu pomaga żyć.

Byłoby oczywiście rzeczą nieważną, gdyby poezja pomogła żyć człowiekowi pojedyńczemu. Ale poezja pomaga żyć całym ludom, które często nic prócz kilkuset wspaniałych wierszy nie posiadają — ani granic, ani wolności, ani nawet prawa mówienia we własnym języku. Taka przez stokilkadziesiąt lat była rola poezji polskiej. Taka była jej rola jeszcze niedawno przez sześć długich lat okupacji. Taka była rola poezji we Francji, w Czechosłowacji, we wszystkich krajach, gdzie stare słowa ludzkości, takie jak wolność, równość, braterstwo przestały być tylko słowami.

Podobna była rola poezji rosyjskiej przez lat dwieście. Gdyby świat urządzony był doskonale i gdyby nie pozostawało pisarzom i poetom nic innego jak tylko zachwycać się doskonałością ziemskiej harmonii, pięknością człowieka i śledzić uważnie za przemijającym czasem, wówczas nie opatrzyłbym mojego artykułu o antologii rosyjskiej tytułem „Dwie mowy Rosjan". Gdyby tak było, gdyby w świecie nie było nic poza jego pięknością i poza losem człowieka oprawnym w tę piękność, wówczas Rosjanie, i nie tylko Rosjanie, mieliby tylko jedną mowę w poezji. Mowę carskosielskich wierszy Puszkina, melancholijnych strof Boratyńskiego, który mówi:

„Na cóż wy, dni? Ten padół łez nie zmienia
zjawisk — po wieków wiek.
Wiadome nam, i tylko powtórzenia
przyszłości wróży bieg
. . . . . ziemski wzrok
Bezmyślnie wciąż patrzy, jak świt noc zmienia
I dzień bez celu trwa,
Jak wsiąka zmierzch bezpłodny w nocne cienie,
wieniec pustego dnia!

(przekład M. Jastruna)

Mieliby Rosjanie tylko jedną mowę. Mowę smutnych i pięknych wierszy Tiutczewa, mowę melancholijnego i mądrego Feta. Wystarczyłoby trochę spokojnych słów Anny Achmatowej o zwyczajnych rzeczach tego świata.

Przemawialiby tylko Rosjanie czystymi, szlifowanymi wierszami Kuzmina, Mandelsztama. Tęskniliby do klimatów tropikalnych strofami Gumilowa i do klimatów wieczności modlitwami Włodzimierza Sołowiewa.

Ale takiej Rosji, ani żadnego innego takiego kraju nie byłoby na ziemi. Dlatego też wszystkie poezje przemawiają dwiema mowami. Mówią w języku świata rzeczywistego, świata zmieniających się nieustannie spraw ludzkich, świata wojen i rewolucji, zwycięstw i klęsk. I mówią w języku samej tylko piękności. Tam gdzie splączą się ze sobą te dwa ludzkie języki, powstaje poezja najświetniejsza i najbardziej ludzka. Taką mową mówi Mickiewicz, Słowacki, Heine, Puszkin. Tak czasem przemawia Victor Hugo. Tak mówi Dante i Milton, zawsze Szekspir, czasem Goethe.

W poezji rosyjskiej dwie mowy brzmią nieustannie. Losy tego ogromnego kraju tak były trudne, że nigdy, prawie nigdy, nie umilkała mowa świata rzeczywistego. Po lirykach apollińskich pisze Puszkin „Pismo na Sybir" do zesłanych dekabrystów. Rylejew, bohater dni grudniowych, przyjaciel Mickiewicza, mówi:

Czyż mógłbym w czas wyroczny, syty chwały
Obywatela plamiąc cześć,
Wyrodny ludu Słowian zniewieściały,
Na wzór twojego życie wieść?
Nie potrafię w objęciach rozkoszy wsród klęski
W sromotnej bezczynności trawić młodych dni,
Pozwalać aby dusza wygasała mi
Pod samowładztwa jarzmem ciężkim!

(przekład W. Karaczewskiego)

Rylejew został powieszony w Petersburgu w roku 1826.

Mijają lata. Tiutczew, Fet, porzucają mowę Rylejewa. Mówią językiem samej tylko piękności. Ale niełatwo jest tylko tak mówić w ogromnym imperium carów, w okresie zsyłek, knuta i pańszczyzny. Tiutczew nie walczy jak Rylejew, ale znajduje na chwilę jego mowę

Te chałupy pochylone,
Niepokaźne w polu brzózki,
Kraju ty mój udręczony,
Cierpiętniczy kraju ruski!

(przekład A. Sandauera)

Odnajduje tę mowę A. N. Tołstoj, w niej jednej tylko przemawia szlachcic dręczony wyrzutami sumienia, Niekrasow. Jego wiersze są ironiczne lub gorzkie, pełne obrazów, których nie znajdziemy u Feta czy u Tiutczewa. Widmo Rosji pańszczyźnianej prześladowało go wszędzie. Niekrasow był ścigany przez nieszczęście ludu, jak Fet przez piękność jesiennego wieczoru. Po latach odczytujemy wiersze ich obu. Obaj trwają, obaj bowiem mówili o rzeczach tego świata. Niekrasow chciał takiego świata w którym by już tylko jedna była mowa poety — mowa piękności. I dlatego mówił:

RYSZARD MATUSZEWSKI

KUKUŁCZE JAJO

W prasie i publicystyce literackiej pojawiają się coraz częściej głosy świadczące o tym, że czytelnika śledzącego niekiedy pilnie bieg toczących się polemik o literaturze ogarniać zaczyna pewne zniecierpliwienie. Słyszy się pytania: w imię czego polemiki te się prowadzi? Nie tylko laika, ale i specjalistę ogarniają pewne wątpliwości. Czy gwałtownie i namiętnie zwalczający się krytycy i publicyści bronią spraw, za którymi stoi jakaś konkretna, społeczna treść zjawisk literackich, program, grupa pisarzy zdolna do realizacji tego czy innego z haseł, zasady ugruntowane na długoletniej obserwacji rozwoju literatury? O co właściwie chodzi?

W jednym z pism literackich o uczestnikach literackich dyskusji czytamy: „Odnosi się wrażenie, że bezpodstawna skrajność ich sądów jest robiona świadomie. Co im szkodzi, że tego lub owego skrzywdzą, ale dookoła nich będzie hałas, będą ich cytować, nicować... Publiczność czytająca zraża się do atmosfery literackiej prasy. Nie tylko z powodu nieprzemyślanych artykułów. Razi ją hermetyczny język krytyki i razi ją ton prywatnej rozmowy, stosowany często w artykułach i recenzjach".

Następują przykłady: nie przykłady trudnych, obcych wyrazów, które inne pismo nieco demagogicznie wytknęło ostatnio całej prasie literackiej, ale o wiele istotniejsze przykłady lekkomyślnej nonszalancji, z jaką niektórzy krytycy traktują poważne literackie zjawiska.

Byłem w ostatnich dniach w Warszawie na odczycie publicznym, na którym zebrało się kilkaset osób, przeważnie młodzieży, i to częściowo młodzieży biorącej czynny udział w życiu literackim. Odczyt wygłaszał doskonały krytyk i publicysta, znany z sądów śmiałych i namiętnych, choć niezawsze sprawiedliwych. W jednej ze swoich książek uzasadniał on swojego czasu własny stosunek do literatury, pisząc o głębokiej pasji, z jaką należy odnosić się jego zdaniem do zjawisk literackich: „Prześladowała nas zawsze najbardziej fatalna ze wszystkich dobroduszności — dobroduszność myślenia"... „Hasło „kochajmy się" jest zabójcze dla literatury i myśli" — oto kilka zdań, które napisał.

Trudno zaprzeczyć. Są to argumenty przekonywujące. Nie byłem i nie jestem zwolennikiem zbyt szerokich dyskusji o literaturze, wolę uzasadnioną empirycznie krytykę, analizującą poszczególne utwory i dopiero w wyniku tej analizy dochodzącą do syntez i uogólnień, ale rozumiem, że można i że należy bronić pewnych spraw w sposób zasadniczy, że można wpływać na literaturę drogą szerzenia pewnych haseł, perswazji, prób tworzenia programu i temu podobnych środków oddziaływania publicystycznego. Ilekroć wzburzała mnie niesprawiedliwość sumarycznych sądów, wypowiadanych przez teoretyzujących krytyków o poszczególnych pisarzach i ich dziełach, powtarzałem sobie ów argument o „pasji", o „namiętnej gwałtowności", popartej ewangeliczną przypowieścią o zimnych, letnich i gorących. Uznając ich słuszność chwaliłem niejednokrotnie śmiałego krytyka, którego i dziś wolę od dziesiątka znakomitych nudziarzy.

Ale odczyt, na którym byłem, nie utwierdził mnie w przekonaniu, że brak pasji, zgodliwość i kompromisowość są najniebezpieczniejszymi wadami naszego życia umysłowego. Uderzyła mnie rzecz inna. Krytyk, który wygłaszając skrajne i gwałtowne sądy zainicjował w istocie już kilkakrotnie pożyteczną i szeroką dyskusję — z wielu zasadniczych stanowisk — wycofał się. Publicznie oświadczył, że zmienił zdanie. O pisarzu, o którym przed dwoma laty wyraził się z przesadnym entuzjazmem — mówił kwaśno, a tradycje na których żywotność się powoływał, teraz osądził jako jałowe. Liczne sądy, jakie wypowiedział w swoim odczycie, wzięte w oderwaniu, — były przy tym słuszne. Na przykład sąd o tym, że powinniśmy mieć literaturę popularną, o szerokim zasięgu i że hermetyczność pewnych gatunków literackich świadczy źle o tempie procesu demokratyzacji kultury w Polsce. Ale jednocześnie jedną z najbardziej popularnych książek w kraju, w dniu jego odczytu wyróżnioną przez przyznanie jej nagrody miasta, którego bohaterstwo opiewała, krytyk zdyskwalifikował z punktu widzenia ideologii postępu, twierdząc, że jest to książka drobnomieszczańska. Kryteria ocen ideologicznych w literaturze nie są jak wiadomo dotychczas bynajmniej dokładnie wypracowane. Jeśli ocena społecznej funkcji zjawisk literackich w naszej epoce zostanie kiedyś przeprowadzona przez opierającego się na wszechstronnej analizie badacza, może okazać się że i ów krytyk, którego zrodziła ta sama dzisiejsza, przejściowa epoka, — był także drobnomieszczański. Za to pewien sposobiący się do zawodu pisarza słuchacz z obecnej na odczycie grupy młodzieży, słysząc ów łatwy i niepoparty argumentami sąd, pokiwał głową z uznaniem, mówiąc do swego kolegi: „taki sąd — to odwaga".

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie atakuję ani tego, że wspomniany przeze mnie krytyk w poszczególnych sprawach zmienił swój pogląd na literaturę: jeśli jest to wynikiem głębszych przemyśleń — w niczym mu to nie uwłacza. Doceniam znaczenie tego, że do zjawisk literackich odnosi się on z żarliwością i pasją. To jest niewątpliwie jedną z największych jego zalet. Chodzi mi o coś ważniejszego: o znaczenie, o ciężar gatunkowy słowa pisanego lub wypowiadanego publicznie. O ton oskarżeń rzucanych lekkomyślnie i równie lekkomyślnych pochwał. O pasję — ale nie tę, która wyraża się w nieopanowanej napastliwości, lecz o pasję, którą cechuje konsekwencja i stałość sądu, choćby w sformułowaniach sąd ten miał być ostrożny i powściągliwy. Nie wydaje mi się bowiem, aby namiętność i pasja oznaczały to samo, co lekkomyślność i demagogia, a wypowiadanie sądów sumarycznych i uproszczonych wzmagało zaufanie do krytyki, lub systemu, do którego reprezentowania krytyka ta pretenduje.

Wydaje mi się, że krytykowi nie wolno w imię taniej popularności, ani w imię doraźnych efektów rezygnować z uwzględniania zawsze wszystkich momentów, rozstrzygających o wartości danego dzieła sztuki. Nie tylko tych, które są w danej chwili dla efektu potrzebne. Nie wolno mu prawdy poświęcać dla dowcipu. Dowcip najczęściej bywa skrótem, spięciem, zaskoczeniem niezawierającym pełni prawdy. Krytyk, o którym piszę, dał odczytowi swemu tytuł „Kukułka, albo o prozie współczesnej". O prozie dowiedzieliśmy się z niego niewiele. Głośno natomiast i natrętnie brzmiało w nim kukanie owej kukułki. Kukułka nie jest ptakiem, któryby poza pięknym głosem odznaczał się innymi, godnymi uwagi przymiotami. Nie sądzę, aby rola krytyki w literaturze była tą rolą, jaka przypada kukułczemu potomstwu, wylęgłemu w gniazdach innych ptaków.

Myślę, że krytyka ma przed sobą poważniejsze zadanie i źle by było, gdyby ona właśnie stanowiła owo kukułcze jajo podrzucone do gniazda literatury.

Ryszard Matuszewski

Choćby sto razy modne głowy powtarzały,
Że ból i klęski ludu to poemat przestarzały,
Że nie poezji rzeczą są te smutne dzieje,
Wy im nie wierzcie, młodzi! To się nie starzeje.

(przekład Tuwima)

Nie moją jest rzeczą pisać tu historię rosyjskiej poezji, którą uważny czytelnik odnajdzie zamkniętą w strofach wierszy antologii. Aż do roku 1905 dwie mowy poetów rosyjskich dźwięczą w chórze. Potem, po klęsce rewolucji, nadchodzi czas milczenia dla muzy Niekrasowa, dla muzy buntowniczego Puszkina. Niepodzielnie prawie dźwięczy jedna mowa. Mowa piękności. Ale ta piękność nie jest tak czysta jak w strofach Dzierzawina lub Puszkina apollińskiego. Jest to piękność zmącona, niepewna swojego trwania. Kuzmin czerpie urodę świata pośpiesznie i nerwowo, widzi ją w drobiazgach, w szczegółach codziennego bytu, którego materialne podstawy są zachwiane, niepewne, podważone wypadkami 1905 roku. „Drobiazgów duch, wspaniały i powietrzny..." w udającej beztroskę uroczej poezji Kuzmina dostanie się w spadku akmeistom, którzy widząc już dotychczasową piękność świata zmąconą, odwracają się ku przeszłości, do antyku, do słowiańszczyzny, do stylizacji.

W latach przed rewolucją październikową rozwija się poezja Aleksandra Błoka od mistycyzmu aż do poematu o Scytach i o „Dwunastu". Błok to poeta świadomej części inteligencji rosyjskiej, związanej nawykami z dawnym, carskim bytem, a jednocześnie rozumiejącej potrzebę zmiany. Oto pogranicze dawnej i nowej Rosji. Poprzez Jesienina, którego czytam niechętnie, Chlebnikowa — eksperymentatora, dochodzimy wreszcie do pierwszego poety rewolucji, Włodzimierza Majakowskiego. I znowu Majakowski jak gdyby łączył dwie mowy. Jak niegdyś Puszkin chwali urodę nowego świata i wzywa do walki o ten świat. Młoda, pierwsza w dziejach ludów rewolucja socjalna, o którą bili się robotnicy Paryża na barykadach 48 roku i która na chwilę tylko ziściła się w Komunie Paryskiej 71 roku, wyzwoliła w Majakowskim ten patos poetycki, jaki wibruje w „Marsyliance" w „Międzynarodówce", w powstańczych pieśniach ujarzmionych ludów. Oto mówi Majakowski:

Żyjemy zaklęci w przysięgi głos, i
za nią na krzyż i pod kule nas wiedźcie.
To po to — by kiedyś bez Łotwy, bez Rosji,
żyć na jedynym wszechczłowieczym świecie

(przekład L. Pasternaka)

Majakowski jest niepowtarzalny, tak jak niepowtarzalny jest czas i warunki, które złożyły się na jego patos. Dlatego on sam mówi o współczesnych sobie poetach w żartobliwym, choć o głębszym znaczeniu, wierszu do Puszkina.

Cóż o współczesnych? Pół setki ich i
z czubem za was oddać bym gotów.
Nuda ci szczękę wyłamuje z twarzy.
Dorogojczenko, Gerasimow, Kirillow,
Rodow —
Słowem oświatowo-świechtany pejzażyk

(przekład Ważyka
przy współpracy Z. Ginczanki)

Po Majakowskim Asiejew czy Kirsanow wypadają blado. W tych latach obok Majakowskiego tworzy drugi wielki poeta. I choć mówi najczęściej w tej drugiej, zacichłej w huku rewolucji mowie, jego słowa — świetne jak u Tiutczewa, dokładne jak u Feta, mają tę głęboko ludzką treść wzruszenia, której brak może odczuć niekiedy czytelnik w wierszach Mandelsztama czy Achmatowej. Nie zawsze jednak Borys Pasternak wywleka poezję z czterech żywiołów ziemi i z oczu zachwyconego lub przerażonego nimi człowieka. Niekiedy mówi drugą, dawną mową poezji rosyjskiej i wtedy powstaje poemat o roku 1905 lub wspaniały, wielki wiersz o „Wysokiej chorobie" („Wysokaja bolezń", nie przełożona dotąd na polski).

Pasternak nie jest kresem nowej rosyjskiej poezji. Należy do pokolenia, które odchodzi. Podobnie jak przełom rewolucyjny wydał różne od siebie, ale niezbędne dla życia poezji rosyjskiej, liryki Majakowskiego i Borysa Pasternaka, tak samo przełom wojenny wydał kilku młodych, interesujących poetów. Wśród nich w antologii figuruje młody Gudzenko. W jego wierszach pasternakowski zachwyt dla żywiołów ziemi staje oko w oko z doświadczeniem wojny.

I można miesiąc, dwa miesiące,
Pod syren ryk na ziemię padać
I słuchać — szemrzą trawy drżące,
Wzdychając pod ołowiu gradem.

Przywyknąć do wszystkiegom mógł,
Byle nie leżeć godzinami.
I tu. u rozstrzelanych dróg
znów się zachwycam niebiosami.

(przekład Jastruna)

Zamykam antologię. Zacichają obie mowy rosyjskich poetów, stare mowy wszystkich poezji świata, które obie trwać muszą, jeśli nasze żywe języki nie mają stać się językami martwymi. Z zasługi Owidiusza, który śpiewał o wygnaniu, i Horacego, który szlifował wiersze o fontannie Banduzji, język dawno umarłych Rzymian przekłada się na żywą mowę ludzką od dwóch tysięcy lat.

Kiedy tak rozważam nad zamkniętym tomem antologii, nasuwają mi się myśli nie mające pozornie nic wspólnego z poezją. Wspominam, że losy historyczne obu liryk — polskiej i rosyjskiej — często były wspólne. Ponad administracyjną granicą, dzielącą przez przeszło sto lat Królestwo Kongresowe, a potem „prywislinskij kraj" od imperium, biegły „mimo carskich gróźb" i „na złość strażnikom ceł" wiersze poetów polskich i rosyjskich. Ta sama cenzura w Warszawie i w Petersburgu kaleczyła strofy Puszkina i Mickiewicza, Niekrasowa i poetów polskiej emigracji. Złudzenia wieku oświecenia absolutnego, dotyczące Katarzyny, dzielił Dzierżawin z poetami okresu stanisławowskiego. Odojewski czcił powstanie roku 31, a w piosenniku polskim wydanym u Brockhausa, w Lipsku, w rok po powstaniu 63 roku, na pożółkłych kartkach czytam wiersz anonimowego autora, parafrazę hymnu „Boże coś Polskę..." Na przyjazny Polsce głos Herzena odzywa się głos polski:

Przed twe ołtarze zanosim błaganie,
Pestlów, Herzenów daj nam więcej Panie.

Lud Rosji przeklnie wyrodnego syna,
co krwią Polaków splami swoje dłonie...

Tu, w tym piosenniku, jak gdyby odpowiadając Puszkinowi na słowa o braterstwie ludów, które wieścił mu Mickiewicz, czytam wiersz Romanowskiego: „Za naszą wolność i waszą". Możnaby ułożyć piękną antologię tej szlachetnej wymiany poetyckiej myśli poprzez granice wytyczone przez carski despotyzm. Byłaby ona cała pisana w tej drugiej mowie poetów, wspólnej wszystkim narodom ziemi . W mowie wolności, równości i braterstwa.

Ale od rozmyślań czas mi wracać do rzeczywistości. Miałem pisać o antologii poezji rosyjskiej. Chcę więc jeszcze powiedzieć czytelnikowi, że jeśli rosyjskiego języka nie zna, a poezja ta go interesuje, to nie znajdzie lepszego dziś przewodnika po jej rozległym kraju niż ten, który stworzyli Jastrun i Pollak.

Dla tych, którzy są już wprowadzeni w dzieje poezji rosyjskiej i zajmowali się nią, bądź to w oryginale, bądź w przekładach, chciałbym dodać kilka uwag.

Przede wszystkim muszę stwierdzić pewne braki w doborze autorów, które, jak sądzę, deformują nieco ogólny obraz antologii. Myślę więc, że zbyt mało miejsca udzielono ojcom poezji rosyjskiej — Dzierżawinowi i Łomonosowi. Ten pierwszy szczególnie byłby zajmujący, jako źródło klasycznej tradycji wielu późniejszych poetów rosyjskich. Następnie trzeba było dać próbkę sceptycznej, w duchu oświecenia pisanej poezji Fonwizina. Wystarczyłby jeden wiersz programowy, może np. „Posłanie do sług moich — Szumiłowa, Wańki i Pietruszki". Następnie brak mi Meja, Nadsona, Apuchtina. Przekłady ich poezji na pewno istnieją. Z poetów nowych brak wierszy Anny Achmatowej. Iwana Bunina, niektórych tzw. małych akmeistów jak np. Rożdżestwieńskiego, czy Georgija Iwanowa. Siewierianin, który zupełnie nie wytrzymuje próby czasu, powinien był być reprezentowany jednym lub dwoma najbardziej charakterystycznymi wierszami. Pomijam tak mało znanych poetów jak radykalny Miński, cyzelerski Fofanow, interesujący jako fenomen Dobrolubow. Okres secesji — Łochwicka — mógłby być może pominięty. Zastanawiałbym się nad tym, czy nie należało dać wiersza, może dwóch Zinaidy Hippius, jako próbkę stylu, który wartoby porównać z naszymi odpowiednikami. Autorzy antologii kierowali się jednak nie historyczno-literackim, lecz raczej historyczno-estetycznym drogowskazem. Dano więc piękne wiersze, podkreślając jednocześnie udział poszczególnych poetów w dziele społecznej emancypacji Rosji. Zaznaczono również wyraźnie powiązania z tematyką polską.

Wszystkie przekłady są bardzo staranne. Wybrano je umiejętnie, wykorzystano przekłady współczesne oryginałom, choć niekiedy przekłady nowe lepiej oddają oryginał. Myślę tu o przekładach Jastruna z Boratyńskiego, Wiaziemskiego, Odojewskiego, Puszkina. Piękne i czarujące swoją zwięzłością są przekłady Ważyka z Puszkina, którego większość utworów została podana w przekładach Tuwima. W przekładzie Tuwima poza tym mamy Feta, Tiutczewa i Niekrasowa. Poeci nowsi tłumaczeni są przez Pollaka, Jastruna, Iwaszkiewicza, Jasieńskiego i innych. Borys Pasternak przypadł prawie w całości w udziale Jastrunowi, toteż czytelnik polski ma do dyspozycji tekst różniący się od oryginału jedynie właściwościami naszego języka, odrębnymi od cech języka rosyjskiego. Pollak zajął się Chlebnikowem, Pasternakiem, Selwińskim. Majakowskiego otrzymujemy w spolszczeniach Ważyka, Jastruna, Sandauera, Słonimskiego, Wandurskiego, Leona Pasternaka.

„Dwa wieki poezji rosyjskiej" wydane niezmiernie starannie przez „Czytelnika" zapoczątkują być może jakąś większą bibliotekę przekładów klasycznej literatury rosyjskiej. W tym kierunku niewiele u nas zrobiono, a wydaje mi się, że Lew Tołstoj, Turgieniew, Dostojewski, Gogol czy Szczedryn wraz z rosyjskimi poetami, będą najlepszymi przewodnikami po kulturze Rosji, obok Aleksego Tołstoja czy Szołochowa, których książki mówią nam o nowej Rosji językiem najlepszych tradycji tej świetnej prozy, jaką jest niewątpliwie rosyjska proza ubiegłego stulecia, szlifowana poetyckim geniuszem Puszkina czy Lermontowa.

Na zakończenie jeszcze słowo. Wiadomo mi, że pisarze sowieccy przygotowują antologię polskiej poezji współczesnej. Jest to oczywiście rzecz bardzo ważna, by czytelnik sowiecki mógł się zaznajomić ze współczesną polską liryką. Byłoby jednak rzeczą niemniej ważną, by „Dwa wieki poezji rosyjskiej" od Dzierżawina do ostatniego pokolenia poetyckiego, znalazły odpowiednik w antologii poezji polskiej od Kochanowskiego począwszy. Taka antologia dawałaby szerszą perspektywę czytelnikowi sowieckiemu i pozwoliłaby mu należycie zdać sobie sprawę z historii rozwoju poezji polskiej, podobnie jak obszerna antologia Jastruna i Pollaka daje nam szeroką perspektywę liryki rosyjskiej.

Paweł Hertz

ANDRZEJ BRAUN

MIASTO

Gardło dławią obręcze syren w Katowicach,
Kawo z expressu! miasto jest jak brunatne ziarna,
zawsze jednako mnie witasz ulico powszednia i gwarna,
a my kradniemy węgiel na twych odległych dzielnicach.
O świcie do biur i fabryk bieży tłum sfalowany,
czernią się szyby za miastem jak pejzaż gór w Zakopanem,
ciężkie platformy na jezdni napełniają mnie rozpaczą,
kto wie kiedy gazowe lampy się rozpłaczą.
Neon! jak wieża ciśnień wznosi się nad domy,
w gzymsach, dymnikach dachów drżę jak cień ruchomy.
Hotel Metropol kusi kaflami portierni,
lecz my musimy zostać pustym knajpom wierni,
gdzie senne muchy łażą po karcie obiadów.
Fryzjer damski! on jeden jest symbolem ładu,
codziennie nosi kitle do chemicznej pralni,
gdy deszcz rozpuszcza włosy na wieżach kopalni.
Zegary, dzwon szpitalny i liczniki taksy
rejestrują ruch, światła uchronią od kraksy.
W drukarniach milon wydań odbija me twarze,
jestem segregatorem, cyfrą, kalendarzem,
krzyczę zwariowanymi afiszami na skwerze,
biegnę z dzwonkiem obok zakonnicy na rowerze,
codziennie chude nogi wdeptują mnie w asfalt,
pneumatyki furgonów obwożą mnie wokół miasta,
rękę w białym mankiecie podnoszę do góry,
jestem magik, co grając, wyprowadza szczury,
miewam pyzatą gębę jak latarnia lub hala,
tłum rzeźniczek jak dynamit ściany me rozwala,
w więzach kabli kościstym garbię się wiaduktem,
anons, kartka na szybach są wymową moją,
reklamuję, a ludzie czytają mnie stojąc
w autobusach i windach. Tekstylia — premiera
i firma Metalurgia naiwnych nabiera,
że szybko i bezbłędnie. Wilgoć je odlepia
a z tyłu suną domy pochmurne jak sepia.
Ja jestem plantem, kioski we mnie są i drzewa
mieszkam w oficynach, w parkach, lub na dworcu jeśli jest ulewa.
W nocy od lamp żarowych rozkłada się stacja,
o semafory wierne! świateł konstelacja.
Megafon, ten zwodziciel kusi do podróży,
bowiem czas na peronie bezmiernie się dłuży.
Teraz czynszowe domy mijam jak wagony,
Kościoły są niemodne i puste skarbony.
Malarze na poddaszach, mieszczaństwo na dole —
w mieszkaniach mają pluszowe kapy i ohydne żyrandole,
wapnem i smołą malowane są ustępy,
po dziewiątej trzepie dywan terminator krępy.
Męczą się kamienice, bramy chore na dyfteryt
żółkną, że nie zrobiły za życia kariery.
Kariatydy na froncie nie zmieniają pozy,
grzechy ludzkie wywożą asenizacyjne wozy.
Kupuję skrypt od prawa w antycznej księgarni.
Kasjerka z powodu miesiączki doznaje męczarni.
W zagubionych facjatkach, gdzie się w głowie kręci,
wegetują na konserwach krzykliwi studenci.
Medyczki obywają się bez akuszerek, noszą cerowane fildekosy,
ich ufność łzy wyciska, woła o pomstę niebiosy.
Matki od piekarza wracają zmęczone.
Jestem równie ciekawski i targuję się jak one.
Teraz w centrali węglowej czekam w poczekalni,
przyjąć mnie ma nie byle kto, sam dyrektor personalny.
Oto godzina kiedy puste są tramwaje,
przed witrynami sklepów rzadko ktoś przystaje,
w biurach trzeszczą maszyny pod palcami dziewcząt,
ich twarze szminkowane schylają się zewsząd
a białe kołnierzyki o czystości świadczą,
lakier paznokci bije w remingtony władczo.
O dwunastej łykają wystygłą herbatę,
w końcu miesiąca stają w kasie po wypłatę.
każda ma samodzielny pokój wynajęty,
gdzie tapczan, meble błyszczą niby instrumenty,
gdzie pończochy, piżamy i bielizna tania
oczekują wzgardliwie sobotniego prania.
Każda wraca o czwartej, zmienia grzebień we włosach,
nastawia radio, albo pali papierosa
wpółleżąc n poduszkach. W łazience jest naga.
Z tą żyłem przez pół roku. Dziś ten skromny bagaż
jak ubogi przekupień wśród wierszy rozkładam.
Na wykręcanych stołkach sączyliśmy piwo.
— Oblałem się na egzaminie, powiedziałem żywo,
powiedz czy ty naprawdę za nią latasz, rzekła wydymając wargi
powiedziała jej Hanka, to dziwne, powiedziałem, skąd ty zbierasz te plotki
a Hanka porządna, zdawałoby się, dziewczyna,
wszystkie jesteście jednakie, mówię, nie nadajecie się na żony —
tylko ona ma liliowe oczy, idziesz, mówię urażony
czy nie prawda, i co ty teraz zrobisz, powiedziała —
biedny Stefan ostatnio mizernie wygląda
mówi ona, to trudno, a święta spędzę w Zakopanem,
chciałem płacić, mówiono, że będzie mieć sprawę
tak, powiada, no trzymaj się stary łobuzie. — — —
Teraz mam mały pokój, gdzie sypiam i piszę
a kiedy znienawidzę pisanie i ciszę
idę na wiec partyjny, gdzie zżółkli od pracy
mówią o swych tryumfach i troskach prostacy.
To górnicy. Nie pisałem o nich do tej pory,
są tacy zwyczajni, że nie nasuwają żadnej metafory,
bo do czegóż w poezji przyrównać człowieka?
Oni kopią, gdy dawno sen na moje pióro ścieka,
pod ziemią wyrabiając trzysta procent normy.
Kraju mój, któryś przeprowadził zbawienne reformy,
jesteś cały jak miłość w ich zoranych twarzach,
a ja cię reklamuję metodą kramarza.

ADAM BROMBERG

ROK PRACY W POJEDYNKĘ

Jeszcze o konieczności i możliwości planu wydawniczego

ROK 1947 był niełatwym okresem pracy dla wydawców. Od stycznia 1947 roku nastąpiło gwałtowne zahamowanie podaży papieru na skutek zmian organizacyjnych i nowej polityki cen. Wobec zagrożenia sezonu szkolnego Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów powziął słuszną decyzję o prawie pierwszeństwa wydawców szkolnych, — cały zapas i produkcja bieżąca papieru poszły na podręczniki szkolne. W drukarniach powstały zatory gotowych układów zecerskich.

Jednocześnie sygnalizowane przez księgarzy zwężanie się kręgu kupujących książki, rozpoczynająca się — przy słabych zakupach bibliotecznych — „nadprodukcja" książek w stosunku do siły nabywczej wąskiej warstewki zamożnych entuzjastów własnych biblioteczek — powodowała obawy zahamowania produkcji wydawniczej.

Obawy te okazały się płonne. Produkcja wydawnicza rośnie z kwartału na kwartał i to zarówno pod względem ilości tytułów jak i pod względem objętości (w I kwartale — ok. 100.000 stron, w II — przeszło 150.000, w III — 134.000, a w IV — prawie 170.000 stron). Ilość tytułów w poszczególnych kwartałach odpowiednio — 871, 1353, 1191 i 1328, co stanowi wzrost o 30 — 50 proc. w stosunku do tych samych kwartałów roku 1946. Niestety brak jest danych o nakładach w r. 1947. Pewne możliwości szacunkowe daje jedynie statystyka PZWS, które wyprodukowały ponad 20 milionów egzemplarzy. Udało się również ustalić nakłady książek i broszur wydrukowanych w październiku 1947 r. Według danych z drukarń całego kraju, nakłady wyniosły w tym miesiącu łącznie przeszło 5 milionów egzemplarzy, w tej liczbie 40 proc. podręczników szkolnych. Na tej podstawie można szacować nakład książek i broszur 1947 r. na 40 do 50 milionów egzemplarzy. Szacunek ten znajduje potwierdzenie również w danych statystycznych o zużyciu papieru na druk książek, odpowiada również ustalonej ramowo wydajności drukarń, dalekiej zresztą od punktu szczytowego.

Jeśli porównać produkcję wydawniczą r. 1947 z latami przedwojennymi, to stwierdzić należy olbrzymi wzrost wysokości nakładów. Najlepszy rok przedwojenny 1929 przyniósł produkcję 23,8 miliona egzemplarzy książek i broszur, 1932 — zaledwie 12,8 miliona egzemplarzy. Szczególnie wyraźnie występuje wzrost nakładów przy obliczeniu na głowę ludności. Produkcja wyniosła na jednego mieszkańca:

w r. 1929 — 0,8 egzemplarzy
„ „ 1933 — 0,4 „
„ „ 1947 — 2,— „ , co stanowi wzrost 2,5 krotny w stosunku do r. 1929 i 5-ciokrotny w stosunku do r. 1933.

Ale nietylko nakłady — porównanie ilości tytułów również wychodzi na korzyść lat powojennych. Oto zestawienie wydawnictw w języku polskim:

w r. 1929 — 197 książek i broszur na 1 milion mieszkańców
w r. 1932 — 136 książek i broszur na 1 milion mieszkańców
w r. 1947 — 198 książek i broszur na 1 milion mieszkańców

Wydawcy nasi wydają więc obecnie w języku polskim przy uwzględnieniu liczby ludności więcej aniżeli przed wojną zarówno pod względem ilości tytułów jak i — szczególnie pod względem nakładów. Nie mamy niestety statystyki objętości przedwojennej produkcji wydawniczej. A ten — zaniedbany wówczas — dział statystyki — daje ciekawy obraz coraz to intensywniejszego zapełniania półek i przechodzenia z produkcji broszur na produkcję książek. Charakterystyczna jest pod tym względem produkcja wydawnicza w IV kwartale ub. r. — mniejsza od produkcji II kw. pod względem ilości tytułów, ale rekordowa ilością stron wydanych książek.

Ilustruje ten wzrost objętości książek w poszczególnych działach poniższa tabelka:

KSIĄŻKI i BROSZURY WYDANE w IV KWARTALE 1947 r.

	Ilość tytułów	Ilość stron	Objętość w %% prod. wyd. I kw.	II kw.	III kw.	IV kw.
1. Dzieła treści ogólnej	21	3.957	6,—	0,9	0,7	2,3
2. Nauka. Kultura	8	923	1,4	0,8	0,7	0,5
3. Archiwistyka. Bibliologia	2	584	0,2	0,3	—	0,3
4. Religia	143	17.318	7,8	8,—	15,1	10,2
5. Filozofia. Logika. Psychologia	10	1.270	1,4	4,—	2,4	0,8
6. Historia	82	10.906	6,8	8,2	7,5	6,5
7. Geografia	23	2.308	1,2	1,6	2,6	1,4
8. Antropologia. Etnologia	1	14	0,1	—	—	—
9. Językoznawstwo	7	2.014	1,3	2,—	1,—	1,2
10. Literatura	170	34.396	22,5	20,—	19,2	20,4
11. Nauka o literaturze	15	2.873	3,1	2,5	1,6	1,7
12. Muzyka. Teatr. Kino	7	372	0,9	1,—	0,5	0,2
13. Sztuki plastyczne. Architektura	7	688	0,3	0,4	0,3	0,4
14. Prawo. Administracja	39	5.451	2,8	6,5	4,6	3,2
15. Polityka. Publicystyka	35	2.762	1,7	1,4	1,5	1,6
16. Ekonomika	39	3.529	2,6	1,5	1,8	2,1
17. Nauki i zagadnienia społeczne	71	4.242	3,3	3,1	2,—	2,5
18. Oświata. Wychowanie	42	3.973	2,9	2,3	2,4	2,4
19. Wychowanie fizyczne. Sport. Gry	13	1.280	0,8	0,8	1,2	0,8
20. Matematyka	5	812	0,8	1,1	0,5	0,5
21. Nauki przyrodnicze	49	7.656	2,4	2,8	4,5	4,5
22. Nauki lekarskie	60	8.264	1,4	3,8	4,2	4,9
23. Technika	60	6.385	5,1	5,6	4,8	3,8
24. Wojskowość	6	823	0,1	0,8	0,3	0,5
25. Przemysł. Rzemiosło. Handel. Transport	87	10.255	3,—	7,—	5,2	6,1
26. Gospodarstwo wiejskie	43	4.303	2,1	2,6	2,6	2,5
27. Podręczniki szkolne	83	14.068	8,6	5,2	8,4	8,3
28. Wydawnictwa dla dzieci i młodzieży	200	17.533	9,4	5,8	4,4	10,4
	1328	168.959	100	100	100	100
Średnia objętość tomu (stron)			113	116	113	129

W IV kwartale zaznacza się niewielkie przesunięcie gwiazdkowe na rzecz produkcji książek dla dzieci i młodzieży i kalendarzy. Zmniejszyła się nieco objętość książek religijnych, ale ilość ich pozostała bez zmian, a w procentach produkcji i tytułów — nawet wzrosła. Zmniejszenie się średniej grubości książki religijnej łączy się ze wzrostem ilości tanich wydawnictw religijnych dla dzieci i młodzieży, o mniejszej z reguły objętości.

Przy niewielkim wzroście stosunkowym działu beletrystyki, wszystkie działy książek naukowych wykazują — należy wyrazić nadzieję — sezonowy spadek produkcji.

Szczególna jednak uwaga należy się w niniejszej informacji statystycznej zestawieniu produkcji rocznej 1947 r. w zestawieniu z rokiem ubiegłym. Ilustruje ją następująca tabelka:

KSIĄŻKI i BROSZURY WYDANE w IV KWARTALE 1947 r. W ZESTAWIENIU z r. 1946 i 1947

	Ilość tytułów danego działu w pocentach ilości tytułów całej produkcji wydawniczej w okresie 1946 r.	1947 r.	IV kw. 1947 r.
0. Książki treści ogólnej	5,2%	1,7%	1,6%
1. Filozofia	1,3%	1,5%	0,8%
2. Religia, teologia	7,2%	10,3%	10,8%
3. Nauki społeczne, prawne, publicystyka	21,7%	11,7%	10,8%
4. Językoznawstwo	0,8%	0,9%	0,5%
5. Nauki ścisłe	2,5%	10,—%	10,3%
6. Nauki stosowane	14,—%	27,1%	27,2%
7. Sztuki piękne. Gry. Sporty	5,—%	5,7%	2,—%
8. Literatura piękna	18,3%	13,—%	12,8%
Książki dla dzieci i młodzieży	10,—%	10,1%	15,1%
9. Historia. Geografia	10,—%	2,—%	1,8%
Podręczniki szkolne	4,—%	6,—%	6,3%
	100 %	100 %	100 %

Zestawienie powyższe abstrahuje od różnic ilościowych, nie przedstawia wzrostu produkcji w każdej dziedzinie, a jedynie przesunięcia strukturalne w ramach produkcji rocznej. Metoda ta umożliwia porównanie wagi gatunkowej każdego działu na osiągniętym w danym roku poziomie produkcji. Największe zmiany zaszły w dziale publicystyki — gwałtowny spadek ilości broszur — i „nauk stosowanych", gwałtowny wzrost ilości książek technicznych, popularnych itp. Na przestrzeni dwu lat daje się stwierdzić niedostateczny udział w ogólnej produkcji literatury pięknej (spadek do 13 proc.) i literatury dla dzieci i młodzieży (10 proc.) Stan produkcji tych podstawowych dla bibliotek powszechnych książek jest jeszcze ciągle dla naszych potrzeb niewystarczający.

Przesunięciom w wadze gatunkowej poszczególnych działów odpowiadały w r. 1947 dalsze przemiany rynku wydawniczego od strony wydawców. Ich rolę w r. 1947 i 1946 przedstawia poniższe zestawienie:

WYDAWCY KSIĄŻEK i BROSZUR w IV KWARTALE 1947 r. W ZESTAWIENIU z r. 1946 i 1947

	IV kwartał 1947 r. Objętość: Stron	w proc. prod.	Ilość tytuł.: w tomach	w proc. prod.	Ilość tytułów w tomach 1946	1947	w %% produkcji 1946	1947
I. Spółdzielnie wydawnicze	35.757	21,3	260	19,6	550	825	17.—	17,4
w tej liczbie:								
„Czytelnik"	8191	4,9	59	4,4	117	181	3·6	3,9
„Książka"	7775	4,6	45	3,5	169	172	5,2	3,6
„Wiedza"	5851	3,5	35	2,6	66	97	2,—	2,-
II. Państwowe instytucje wydawnicze	36278	21,5	304	22,9	712	1167	21,9	24,6
III. Organizacje społeczne. Związki. Stowarzyszenia (prócz religijnych)	16247	9,6	200	15,1	364	657	11,2	13,9
III a. Stowarzyszenia i organizacje religijne	13096	7,7	110	8,3	208	437	6,4	9,2
IV. Firmy prywatne i anonimowe	67581	39,9	454	34,1	1414	1657	43,5	34,9
	168959	100	1328	100	3248	4743	100	100

Z naszych czołowych społecznych wydawnictw spółdzielczych na czoło wysunął się w r. 1947 „Czytelnik", który wydał najwięcej pozycji — 181 — i w r. 1947 przekroczył 8000 stron kwartalnej produkcji. Znaczny wzrost ilości tytułów — 60 proc. — łączy się z wydawnictwem cienkich broszurek popularno - naukowych w ramach Biblioteki Wiedzy Powszechnej. „Książka" pozostała w r. 1947 na poziomie produkcji r. 1946 (jeśli chodzi o ilość tytułów) i równym mniej więcej „Czytelnikowi", przy spadku jednak jej wagi gatunkowej w ogólnej produkcji z 5,2 proc. w r. 1946 na 3,6 proc. w r. 1947. „Wiedza" utrzymała swój udział w ogólnej produkcji — 2 proc. — dzięki wzrostowi ilości tytułów o 50 proc. i poważnemu wzrostowi objętości tomów (w IV kw. 1947 — 3,5 proc. ogólnej produkcji).

Wszystkie te trzy instytucje wydawnicze razem wzięte wydały jednak w r. 1947 mniej aniżeli stowarzyszenia i organizacje religijne, których produkcja wydawnicza wzrosła w ciągu roku przeszło dwukrotnie. Poważny jest również wzrost produkcji wydawnictw państwowych i społecznych. Wzrosła ilość pozycji wydawców prywatnych — z 1414 w r. 1946 na 1657 w r. 1947. Utrzymują oni w ciągu r. 1947 prymat w beletrystyce i pełną władzę na rynku w dziedzinie książek dla dzieci i młodzieży.

IV kwartał daje ciekawą ilustrację roli poszczególnych wydawców grup w produkcji w/g działów.

W dziale literatury pięknej w okresie sezonu gwiazdkowego utrzymuje się prymat prywatnych wydawców, którzy rzucili na rynek aż 101 książkę („Czytelnik" i „Książka" po 15 „Wiedza" 10 inne spółdzielnie 12, wyd. państwowe — 7). W dziale książek dla dzieci i młodzieży na 200 wydanych 130 ukazało się nakładem prywatnym. Mimo wyraźnej przewagi oznacza to jednak zwiększenie aktywności w tej dziedzinie społecznych instytucji wydawniczych („Czytelnik" — 11 książek, „Wiedza" — 19, „Książka" — 6).

* * *

Rok 1947 zakończył okres organizacji rynku wydawniczego w Polsce. Wydawnictwa wszystkich grup rozwinęły szeroką działalność, baza techniczna i surowcowa okazała się dla naszych możliwości organizacyjnych wystarczająca, dziesiątki miliardów złotych włożono w inwestycje wydawnicze.

Ale jednocześnie rok 1947 był jeszcze ciągle okresem chaotycznej, bezplanowej produkcji. Obok książek wartościowych ukazują się setki książek niepotrzebnych, a nawet szkodliwych. Ceny są wysokie, brak tanich popularnych wydawnictw, o dużych nakładach. O oknie wystawowym w księgarni, o wyborze książek dla biblioteki decyduje prywatna inicjatywa.

Doświadczenie 1947 roku wskazuje na to, że społeczne instytucje wydawnicze nie zrobiły nic w kierunku organizacji rynku wydawniczego od środka. Jest publiczną tajemnicą, że nawet trzy czołowe spółdzielnie — „Czytelnik", „Książka", „Wiedza" — pracują bez wzajemnego porozumienia, chociaż właściwie te instytucje były powołane do odegrania roli ośrodka ideologiczno - organizacyjnego ogółu wydawców.

Również samopas szły w r. 1947 wydawnictwa państwowe, strzegąc zazdrośnie tajemnic swych planów wydawniczych, — nie mówiąc o urzędach państwowych w skali centralnej, wojewódzkiej, powiatowej, których działalność wydawnicza stanowiła często niespodziankę nawet dla resortowych ministerstw. Ze może być inaczej, że wydawnictwa państwowe mogą odegrać rolę decydującą w polityce ceny i zaopatrzeniu w książki — wskazuje przykład PZWS — największego w Polsce wydawnictwa, którego 20.000.000 wydanych książek obniżyło poważnie ceny podręczników szkolnych.

W r. 1947 powszechne stało się zrozumienie konieczności planowania wydawnictwa. Od stycznia 1948 r. obowiązują rygorystyczne przepisy o zakazie marnowania papieru drukowego. Są możliwości ustalenia hierarchii potrzeb, niedopuszczenia do wydawania książek bez wartości. W budżecie na r. 1948 znalazła się pierwsza rata — 300 milionów złotych — na zakup książek dla bibliotek. Jak się zdaje — poważne kredyty na ten cel uruchomiły związki i stowarzyszenia. Jesteśmy świadkami prawdziwego runu na tanie, wartościowe książki — beletrystyczne i popularno - naukowe. Wykupywane są całe nakłady w niewiele miesięcy po wydrukowaniu.

I oto mamy nowe zjawisko — obok trudnej sprzedaży księgarskiej książki drogiej, której cena waha się od 2—3 zł za stronę, **wszystkie** niemal poważniejsze wydawnictwa przygotowują wydawanie tanich masowych serii, przeznaczonych dla świetlic, dla szerokich mas.

Pierwsza jaskółka — to biblioteka romansów i powieści „Czytelnika" — 40 zł za 64 str. dużego formatu. Przygotowuje podobną bibliotekę „Książka", „Wiedza", pójdą za tym przykładem inne wydawnictwa i za rok będziemy znów załamywali ręce nad chaosem wydawniczym, dublowaniem wysiłków itp. Nikogo nie zdziwi, że np. „Pogrom" Zoli, wydany przed r. 1914 przez Gebethnera (w kiepskim zresztą przekładzie) jest teraz tłumaczony na nowo przez... dwóch tłumaczy równocześnie (o dwóch wiem) w dwu poważnych wydawnictwach. Można sobie łatwo wyobrazić jakie to się zacznie wyrywanie sobie nawzajem pozycji wydawniczych przy reedycjach nie chronionych prawem autorskim!

Jeszcze jest czas na zapobieżenie temu stanowi rzeczy. Jeśli rzeczywiście *słuszna* jest decyzja uzupełnienia bibliotek i dotarcia do wsi i małego miasteczka przez tanie wydanie 200 książek dla masowego czytelnika — to takie zadanie nie może być wykonane przez żadne wydawnictwo z oddzielna. Zadanie tej miary musi być podjęte przez wszystkich wydawców wspólnie, przy szczególnym poparciu państwa i całego księgarstwa.

Jakie są możliwości obniżenia ceny takiej książki? Złóżmy we czworo gazetę formatu „Rzeczypospolitej", objętości 8 stron — sprzedawanej odsprzedawcom przy cenie 3 zł za zł 1.65. Otrzymujemy 32 strony formatu książkowego po 5 gr. za stronę. Jeśli dodać nawet koszta najtańszej oprawy, to przy postawieniu sprawy ceny książki masowej na tej samej płaszczyźnie, co gazety — otrzymamy możność sprzedania książki drukowanej na rotacji na papierze gazetowym po 10—15 groszy za stronę.

Czy to się „opłaca"? Handlowo napewno nie lepiej niż wydawanie gazet. Ale dla naszej kultury, dla upowszechnienia czytelnictwa — opłaca się stokrotnie. Warto dla tego celu dać i papier gazetowy z najwyższym rabatem, i zwolnić obrót od opodatkowania i przeprowadzić kampanię wśród wydawców dla poniesienia ciężaru deficytu przez wszystkich równomiernie.

Do takiej biblioteki taniej książki, Biblioteki Funduszu Kultury, zgłoszą swój akces wszyscy poważniejsi wydawcy. Wkładem każdego z nich będzie jego kapitał nabytych praw wydawniczych, wykorzystanych w innych kosztowniejszych edycjach. Biblioteka taka administrowana przez czołowe wydawnictwa państwowe, byłaby sprzedawana również przez księgarnie, które by się musiały jednak zadowolić minimalnym rabatem. Główny jednak rynek zbytu stanowić będą masowe związki i organizacje, które w ten sposób za posiadane kredyty nabędą wielokrotnie większą ilość książek, zapewniając zarazem wpływ na dobór tytułów.

Staranna szata edytorska, dobra korekta, ale przede wszystkim — masowe i szybkie wykonanie, mobilizacja wszystkich czynników wydawniczych zdolnych do pojęcia społecznej roli wydawcy w naszych warunkach — tego wymaga realizacja zadania taniej dobrej książki.

W r. 1947 można już mówić o rynku wydawniczym pełnocennym ilościowo i organizacyjnie (od strony oddzielnych wydawnictw). Nic nie stoi na przeszkodzie, by rok 1948 był pierwszym rokiem planu wydawniczego nie tylko w dziedzinie książki szkolnej. Zagadnienia jakości, doboru książki, hierarchii potrzeb — będą w r. 1948 centralne. Zagadnień tych nie rozwiąże apel do indywidualnej wzmożonej działalności wydawniczej osób i instytucji społecznych. Tylko skoordynowane przez jakiś państwowy czynnik nadrzędny plany wydawnicze wydawców i rozsądne zorganizowana współpraca wszystkich sektorów pozwoli w r. 1948 przejść na tory planowania książki zgodnie z interesem Polski Ludowej.

Adam Bromberg.

ALEKSANDER HERTZ (New York)

Książka naukowa — popularna i niepopularna

NIEDAWNO odwiedził mnie pewien rodak — młody pracownik naukowy, jako stypendysta studiujący na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Przyszedł do mnie po radę w sprawie artykułu, który miał napisać dla jednego ze znanych krajowych czasopism fachowo-naukowych. Chodziło tu o artykuł sprawozdawczy, informujący czytelnika polskiego o stanie wiedzy amerykańskiej w dziedzinie, która obu nam jest bliska. W toku rozmowy przyjaciel mój pokazał mi list, który w sprawie tego artykułu otrzymał od redaktora czasopisma — jednego z czołowych uczonych polskich. Redaktor z naciskiem domagał się, by artykuł nie był popularny, by był trudny, czyli by był utrzymany na wysokim poziomie naukowym.

Przyznam się, że postulaty te wywołały we mnie odruch zniecierpliwienia i parę cierpkich uwag. „Do licha — rzekłem — czy profesor X sądzi, że „popularne" i „naukowe" wyłączają się na wzajem, czy przypuszcza, że niezrozumialstwo ma być wskaźnikiem poziomu naukowego? Dziwny redaktor, drukujący artykuły, przeznaczone wyłącznie dla małego grona wtajemniczonych!" Coś w tym wszystkim wydało mi się z samego założenia błędnym i niebezpiecznym.

Wkrótce po tej rozmowie otrzymałem wrześniowy i październikowy zeszyty „Wiedzy i Życia". Z zainteresowaniem przeczytałem tu uwagi pani Zofii Zalewskiej na temat dydaktyki popularyzacji. A gdy je czytałem, przypominała mi się rozmowa z moim przyjacielem i list redaktora wybitnego pisma naukowego. Te dwie rzeczy skłoniły mnie do przemyślenia raz jeszcze zagadnienia książki popularno-naukowej, tym jednak razem pod nieco innym kątem widzenia niż ten, jaki stanowił o treści mego starego (i przeze mnie już zapomnianego) artykułu, który łaskawie cytowała autorka uwag o dydaktyce popularyzacji.

Ten drugi kąt widzenia to ludzie nauki, którzy jako autorowie książek i artykułów mogą samoukom torować drogę do kręgu myśli badawczej. I ten drugi kąt widzenia to także sprawa samego podziału na książki popularne i niepopularne, na ludzi, którzy produkują jedne, i na ludzi, którzy produkują drugie. Zdaje mi się, że w grę wchodzą tu zagadnienia bardzo doniosłe, zagadnienia, które dziś, gdy Polska przechodzi przez tak wielkie przemiany, muszą być stawiane jasno i zdecydowanie.

KSIĄŻKA CZYTELNA I KSIĄŻKA NIECZYTELNA

Z góry zastrzegam się, że wywody swe ograniczę do sfery nauk humanistyczno-społecznych. Na naukach przyrodniczych, na matematyce i technologii się nie znam i nie wiem, jakie tu istnieją możliwości popularyzacyjne. Mam jednak pewne pojęcie o naukach społecznych i tu pozwalam sobie na ryzyko wyciągania wniosków. A oprę je na mej znajomości stosunków amerykańskich.

Nie ulega wątpliwości, że w ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci trzy dzieła miały epokowe znaczenie dla badań nad cywilizacją amerykańską. Są to: małżonków Beard „The Rise of American Civilization", małżonków Lynd „Midlletown" (oraz „Middletown in Transition") i Gunnara Myrdala „An American Dilemma". Są to dzieła olbrzymie — każde z nich liczące przeszło tysiąc stronic gęstego druku. Są to dzieła źródłowe — każde zaopatrzone w tysiące odsyłaczy i pozycji bibliograficznych. Są to dzieła na najwyższym poziomie naukowym — każde z nich to wynik wieloletnich badań i każde z nich stanowiące swego rodzaju rewolucję w dziedzinie nauki o społeczeństwie. I są to jednocześnie dzieła czytelne, dostępne nie tylko dla wtajemniczonych, ale i dla szerokich mas czytelniczych.

Nie są to rzeczy łatwe. Wymagają wysiłku i jakiegoś przygotowania. Ale równocześnie zachęcają do wysiłku, od samego początku pociągają czytelnika, od samego początku dostarczają mu bodźców, zachęcających go do pokonywania trudności, od pierwszej strony otwierają przed nim nowe horyzonty. Przy swym najwyższym poziomie naukowym, przy całej swej trudności są to dzieła o wyjątkowych walorach dydaktycznych i popularyzatorskich. Nie zawahałbym się nazwać tych dzieł książkami popularnymi.

O tym zdaje się świadczyć ilość ich czytelników. Nie wiem dokładnie, ile egzemplarzy każdego z tych ogromnych dzieł sprzedano w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Nie mam jednak wątpliwości, że sprzedano ich bardzo, bardzo dużo, że w sumie chodzi tu o setki tysięcy egzemplarzy. Faktem jest, że Beardowie i Myrdal ukazali się w popularnych (to jest tanich) edycjach, że każde nowe wydanie jest z miejsca rozchwytywane, że te wielkie tomy widywałem w księgozbiorach osób, które w Polsce bezwątpienia zostałyby zaliczone do kategorii samouków.

Książki, o których przed chwilą mówiłem, zawdzięczają swe powodzenie nie tylko temu, że poświęcone są tematom, pasjonującym szerokie koła czytelników. Swe powodzenie — a tym samym i spełnienie swych zadań społeczno-wychowawczych — zawdzięczają one przede wszystkim temu, że są **czytelne**. I pod tym względem nie są wyjątkami w amerykańskiej produkcji naukowo-wydawniczej. Jest to produkcja ogromna. I duża jej część znajduje czytelników. Naturalnie byłoby nonsensem twierdzić, że każdy ze stu czterdziestu kilku milionów obywateli Stanów Zjednoczonych kupuje i czyta te książki. Ogromna większość kupuje i czyta „comic strips" czy tandetne powieścidła. Ale jest poważna mniejszość, która zapełnia biblioteki publiczne (w każdej dziurze amerykańskiej jest biblioteka publiczna), kupuje książki poważne, czyta i kształci się. Są to samoucy — drobni pracownicy biurowi, robotnicy, panienki sklepowe, młodzież, żony farmerów — ludzie, którzy wydadzą kilka dolarów na dobrze napisaną, interesującą ich książkę naukową.

W Ameryce nie mówi się o podziale na książki popularne i niepopularne. Mówi się natomiast o książkach dobrze i źle napisanych, o książkach ciekawych i nudnych, pociągających i odpychających. Książka napisana źle — nudno, nieudolnie, niezrozumiale — czytelnika nie znajdzie. Książka napisana dobrze — choćby w treści swej była trudna — do czytelników dotrze.

Wydawca amerykański chce sprzedać jak najwięcej egzemplarzy. Kieruje się względami komercjalnymi: chodzi mu o zysk. Autor chce, by książka jego się rozeszła. Niekoniecznie chodzi mu o zysk. W każdym razie i wydawca i autor są zainteresowani w pozyskaniu dla książki czytelników. Stąd wydawca stara się nawet najbardziej specjalnej książce nadać postać atrakcyjną. Leży przede mną książka arcyspecjalna. Zajmuje się ona społecznymi następstwami lotnictwa („The Social Effects of Aviation" by William Fielding Ogburn). Ale wydawca dał jej ładną, pociągającą oprawę, dobry papier, zaopatrzył w masę fotografii, usunął z wyglądu książki wszystko to, co czytelnika mogłoby onieśmielić czy przestraszyć. Naukowa książka amerykańska swą szatą zewnętrzną nie wytwarza dystansu między sobą a czytelnikiem-samoukiem. Czytelnik, który tę książkę bierze do ręki, nie będzie ofuknięty, że to jest książka nie dla niego, nie będzie wystraszony jej wyglądem. Albo da sobie z nią radę, albo — nie. W każdym razie — niech próbuje!

Książka naukowa ładnie wydana jest zasługą rozumiejącego swój interes wydawcy. Ale książka dobrze napisana jest nie tylko sprawą talentu autora. Nie każdy wybitny uczony jest dobrym pisarzem. Nie każdy, nawet gdy chce, umie swe myśli wyrażać jasno i przystępnie. Czy duża ilość dobrze napisanych amerykańskich książek naukowych świadczy o wyjątkowych talentach autorskich w świecie naukowym Stanów Zjednoczonych?

Tak wcale nie jest. Ale autor amerykański chce, by książka jego miała powodzenie. A to w przekonaniu jego nie oznacza, by miała być pochwalona przez kilku fachowych krytyków. Miarą powodzenia jest ilość czytelników, są społeczne konsekwencje książki. I dlatego autor amerykański stara się do czytelników trafić. Dba więc o jasność stylu, o prostotę w ujmowaniu swych myśli. W niezrozumialstwie nie widzi zasługi dla siebie. Owszem, chce pisać popularnie, owszem, chce mieć jak najwięcej czytelników, którzy go rozumieją. A jeżeli sam sobie rady ze swym stylem nie daje, to nie wstydzi się szukać pomocników.

Nauka amerykańska dawno wyszła z tego stadium, gdy uczony pracował samotnie, w pojedynkę. Podobnie jak nauka w Związku Radzieckim. Naukowa książka amerykańska jest owocem badań zbiorowych i produktem pracy zbiorowej. Dlatego tak często amerykańskie książki naukowe są dziełami spółek autorskich (np. par małżeńskich) i dlatego z reguły autorowie wymieniają długie listy osób, które pracą swą w jakimś stopniu przyczyniły się do powstania dzieła. A wśród tych pomocników z pewnością nie zabraknie ludzi o uzdolnieniach literackich i popularyzatorskich, ludzi, których zadaniem jest nadać dziełu postać czytelną. Nie obniża to w niczym wartości naukowej dzieła, nie obraża ambicji i uczuć głównego autora, a książce i jej czytelnikom bardzo pomaga. Słowem — propozycja pani Zalewskiej, żeby książki popularno-naukowe były pisane przez spółki uczony-literat, w Ameryce jest już od dawna realizowana w odniesieniu do **książek naukowych**.

W swej formie, w swym ujęciu, w sposobie podchodzenia do tematu najbardziej twórcze, odkrywcze, samodzielne prace najwybitniejszych uczonych amerykańskich mają wszelkie cechy książek i artykułów popularnych. I żaden redaktor któregokolwiek z niezliczonych amerykańskich czasopism naukowych nie zaleci swym współpracownikom, by pisali niepopularnie, trudno, „na wysokim poziomie".

Oczywiście są książki, którym nawet świetny kunszt pisarski autorów nie potrafi pozyskać zbyt licznych czytelników. Ale i nie odstraszy tych mniej licznych. Oto jeszcze jedna książka, leżąca na mym biurku. Jest to rozprawa profesora Franka Tannenbauma o różnicach między sytuacją prawną czarnych niewolników w plantatorskiej Ameryce Północnej i w innych krajach, gdzie panowało niewolnictwo. Praca specjalna, nie mogąca zainteresować szerokiego ogółu. Ale że napisana tak, jak gdyby dla tego ogółu miała być przeznaczona, przeto przeczytałem ją „jednym tchem" i żałowałem, że jest taka krótka. I zapewne nie byłem wyjątkiem. W każdym razie książkę tę zaleciłbym każdemu samoukowi, którego interesuje kwestia murzyńska w Ameryce. Jest to bowiem książka popularna, ani na chwilę nie przestając być odkrywczym dziełem znakomitego uczonego.

UCZENI CZY AUGUROWIE

Zdaje mi się, że największą **społeczną** zaletą książki naukowej — obojętne czy nazwiemy ją popularną czy niepopularną! — jest, gdy przełamuje ona onieśmielenie czytelnika wobec siebie, gdy nie stwarza dystansu między sobą a tak zwanym samoukiem. Tę zaletę posiada wiele amerykańskich książek naukowych. I czas najwyższy, by to samo dało się powiedzieć o polskiej produkcji naukowej.

Autorami amerykańskich książek naukowych są — podobnie jak w Polsce — przeważnie profesorowie wyższych uczelni. Do książek swych wnoszą oni coś z tego stosunku, jaki cechuje profesora amerykańskiego wobec studenta.

Przybywający do Stanów Zjednoczonych uczeni europejscy z początku bardzo źle się czują w atmosferze uniwersytetów amerykańskich. Profesorowie Niemcy w ogóle do niej nie mogą się przyzwyczaić. Otóż atmosferę tę cechuje zupełny brak formalizmu w obcowaniu wzajemnym profesorów i studentów. Ta sztywność, powaga, formalne zabezpieczanie autorytetu, jakie cechują postawy profesorów europejskich, w uniwersytetach amerykańskich są czymś nieznanym, a próby wprowadzenia ich byłyby z miejsca ośmieszone. Profesor po prostu obcuje tu ze studentami, studenci po prostu obcują z profesorami, wytworzyła się tu poufałość i daleko posunięta swoboda. Metoda wykładowa w amerykańskich wyższych uczelniach zajmuje mało miejsca. Dominuje metoda dyskusyjna, seminaryjna, ścisła współpraca z profesorem, który jest nie tyle świętym autorytetem, ile kierownikiem we wspólnych poszukiwaniach.

Mam wrażenie, że ta swoboda, jaka panuje w uczelniach amerykańskich, miała duży wpływ na działalność pisarską uczonych. Narzuciła im formę przystępnego ujmowania tematów, uniemożliwiła bawienie się w ton augurów czy kapłanów wiedzy. Nie zazdroszczę profesorowi, który by tu wobec swych studentów chciał się bawić w takiego augura czy kapłana wiedzy.

A to z kolei pozostaje w związku z tą pozycją, jaką w życiu amerykańskim zajmują profesorowie. W społeczeństwie amerykańskim nie powstała **kasta** zawodowych, urzędowo kwalifikowanych uczonych, jaka z nielicznymi wyjątkami wytworzyła się w narodach europejskich. Nie znaczy to, aby uczeni i profesorowie, szczególnie pewnych uniwersytetów, nie cieszyli się poważaniem w Stanach Zjednoczonych. Jednakże poważanie to płynie nie z samego faktu ogłaszania rozpraw czy nauczania w szkołach akademickich, ale z osiągania na tym polu wyników, narzucających się uwadze ogółu. Einstein, Urey, Fermi, Beard, Dewey, Lynd, Commager, Mac Iver są cenieni nie dlatego, że zajmują katedry profesorskie, ale dlatego, że jako uczeni czy pedagogowie osiągnęli wyniki, nakazujące szacunek.

Trzeba też pamiętać, że Amerykanie na profesurę patrzą jako na zawód (job), a nie jako na stanowisko. Profesor jest angażowany przez władze uniwersyteckie, przeważnie na określony przeciąg czasu. Kontrakt z nim może być odnowiony, ale nie musi. Uczony, który dziś wykonuje ten zawód, jest profesorem, ale przestanie nim być, gdy jutro opuści katedrę. I nikt go wtedy nawet nie będzie tytułować profesorem.

Jest w Ameryce rzeczą powszednią, że wykładowcy zmieniają swój zawód. Profesorowie przedmiotów technicznych i przyrodniczych często przechodzą do przemysłu, przedmiotów prawnych czy gospodarczych do adwokatury czy zarządów wielkich przedsiębiorstw. Oznacza to po prostu zmianę zajęcia, przejście z jednej kategorii zarobkowej do innej. Nie oznacza degradacji, przeciwnie — może być awansem, jeżeli nowe zajęcie oznacza wyższe dochody i większe wpływy.

Te okoliczności sprawiają, że profesor amerykański nie zasklepia się w swojej kaście, że w ogóle kasta taka nie mogła się tu wytworzyć. Uczony amerykański jest bliski życiu realnemu, najczęściej bierze w nim bezpośredni udział. Każdy ze znakomitych uczonych, których nazwiska przed chwilą wymieniałem, pisuje artykuły dla „magazynów" (artykuły „popularne", ale na najwyższym poziomie naukowym), zabiera głos w sprawach obchodzących ogół (nie przemawia wtedy nigdy głosem proroka), jest członkiem wielu organizacji społecznych (niekoniecznie scholarskich i niekoniecznie „czcigodnych"), bierze udział w życiu politycznym (nierzadko w szeregach grup zgoła niekonformistycznych). Jedną z najbardziej ujmujących właściwości uczonych amerykańskich jest to, że stosunkowo bardzo duża ich część stara się zachować ścisły i bezpośredni kontakt z życiem społeczeństwa, że nie odsuwa się od tego życia, że stara się mu coś dać i coś z niego dla siebie wziąć.

Daje niemało i bierze niemało. To, że uczeni amerykańscy starają się zachować kontakt z masami ludzkimi, wyraża się między innymi w języku ich dzieł. Nie mówią wyłącznie do specjalistów, starają się mówić i do szerokiego ogółu. Z drugiej strony właśnie związkowi z masami zawdzięczają swój autorytet, swe wpływy, a równocześnie — i sugestywność swych myśli, żywość swych zagadnień.

Nie jestem entuzjastą stosunków, jakie panują w amerykańskim świecie naukowym, w amerykańskich wyższych uczelniach i na amerykańskim rynku wydawniczym. Jest tu aż nadto rzeczy złych, bardzo złych. Niezależny uczony ma tu nieraz ciężkie życie. W uniwersytetach prywatnych jest kontrolowany przez zarząd, złożony z wielkich przemysłowców, bankierów czy ich radców prawnych. W uniwersytetach stanowych zależy od fanaberii lokalnych politykierów. Może łatwo znaleźć się na bruku, może spotkać się z szykanami i prześladowaniami. Takie rzeczy ciągle się zdarzają. Gdy wydaje książkę, musi nieraz stoczyć walkę z wydawcą, który ma swoje wymagania, nie mające nic wspólnego z postulatami prawdy i cnoty. Można ułożyć długą listę rzeczy złych, groźnych, oburzających, jakie cechują stosunki w amerykańskim świecie naukowym.

Ale lista ta nie zmieni faktu, że w Ameryce przezwyciężone zostało niebezpieczeństwo kastowości w świecie nauki i uczonych. I dzięki temu zmniejszyły się — ba, często zatarły się — różnice między książką, którą gdzie indziej nazywa się naukową, a książką, którą obdarza się nieco lekceważącym mianem popularno-naukowej.

KASTA I ZŁA KSIĄŻKA

W Polsce ciągle jeszcze przechowuje się kastowość nauki i uczonych. Profesura jest zaszczytem, godnością, tytułem. Posiadanie kwalifikacji, wyrażonych w dokumencie doktoratu, habilitacji czy nominacji, oznacza coś jakby nobilitację szlachecką, wejście do zamkniętej kasty ludzi wyższego gatunku.

Tradycje feudalne, w Polsce — tradycje szlachetczyzny, jeszcze dotąd zachowały się w większości uniwersytetów europejskich. Profesorowie tworzą tu Olimp, z którego od czasu do czasu na ziemię spoglądając, rzucają maluczkim jakieś okruchy swej mądrości. Uważają się za przewodników narodu nie z tytułu swych rzeczywistych osiągnięć, ale z tytułu posiadanych godności, z tytułu należenia do kasty dyplomowanych mędrców i augurów.

Jakże często o polskich rozprawach naukowych trzeba powiedzieć, że są nieczytelne! Są zaś nieczytelne nietylko dlatego, że autorowie ich źle piszą, albo że tematy są zbyt trudne, by dały się prosto ująć. Nieraz jest to programowa nieczytelność, programowe — jak to miało miejsce z listem, o którym mówiłem — unikanie zrozumiałości. Albowiem kasta wytworzyła swój styl. I operowanie tym sty-

STANISŁAW WYGODZKI

MOJA CZARNA CÓRKA MARIA

Od zatoki do Ontario,
z Mississipi do Potomac
nie chodź nigdy sama, Mario,
tam mieszkają biali w domach.

Omiń place, skwery, City
w dzień i w noc. Gdy wicher zdarł ją,
twarz ukazał im odkrytą
twoją twarz murzynki, Mario.

Zakryj twarz i ukryj dłonie,
drżę o ciebie w Alabamie.
Białe wapno w twym wagonie,
białe wapno twarz ci plami.

Drżę o ciebie w Carolinie,
na Manhattan i w Harlemie.
Mario, czarne twoje imię
nosi białe moje plemię.

Jest 48 Stanów,
jest 48 stosów,
w czarny płomień twoich włosów
ja z Majdanka idę rano.

Nie giń, Mario! Z moich córek,
czarna córko mego serca,
kulą, ogniem, wiarą, sznurem
biały wróg nasz cię uśmierca.

Czarna Mario, weź w swe dłonie
wiersz mój, niech ci będzie nożem
w Białym Domu w Waszyngtonie,
w Yale, w Ontario, w Baltimorze.

lem jest jednym ze sprawdzianów przynależności do kasty. Ludzie kasty piszą dla siebie i w tym widzą swoją wyższość.

Jest to zjawisko bardzo groźne. Ostrzega ono, że uczeni i nauczyciele oderwali się od społeczeństwa, od żywych mas ludzkich, że nie mają z nimi wspólnego języka. Jest to groźne dla samej nauki. Tak kostniała niegdyś wiedza Chin.

Uniwersytety polskie miały na celu produkowanie tak zwanej inteligencji, to jest ludzi, którzy dzięki swym dyplomom mieli być kwalifikowani do zajmowania pozycji szczególnie doniosłej w zbiorowości narodowej. Ogromna większość tych ludzi wywodziła się ze środowisk, żyjących tradycjami szlachetczyzny, tradycjami kastowości szlacheckiej. Atmosfera, panująca w uniwersytetach polskich, sprzyjała tym tradycjom, które aż dotąd zachowały się w kołach naszej inteligencji. Dlatego to inteligencji polskiej tak trudno jest znajdować wspólny język z szerokimi masami społecznymi i ich aspiracjami.

Wśród przemian, jakie w Polsce dzisiejszej zachodzą, ogromne znaczenie mają reformy przeprowadzane w wyższych uczelniach. Fakt, że do zespołu wykładowców dopuszczani są ludzie, nie posiadający formalnych kwalifikacji, że słuchaczami mogą być ludzie, również takich kwalifikacji nie posiadający, że czyni się dużo, by wśród młodzieży akademickiej jak najliczniej były reprezentowane środowiska pracy fizycznej — powinien mieć konsekwencje kolosalne i niezmiernie pozytywne. Oznacza on bowiem zmierzch kasty i ducha kasty wśród uczonych i inteligentów. Nauka, która nie jest zwrócona w stronę potrzeb mas ludzkich, uczeni, którzy zamykają się w murach kastowego Ghetta — taka nauka i tacy uczeni to coś martwego, coś co straciło swój sens społeczny i kulturotwórczy.

Na tym tle inaczej zaczyna nam się przedstawiać zagadnienie książki popularno-naukowej. Jest to zagadnienie nie tylko mas odbiorców książek, ale i zagadnienie tych, którzy książki mają dostarczać. W przekonaniu moim podział na książki naukowe i popularno-naukowe — przynajmniej w zakresie tych nauk, gdzie ośmielam się zabierać głos — sens swój stracił. Tak jak już faktycznie sens swój stracił w Związku Radzieckim (uczeni radzieccy osiągnęli świetne wyniki w zbliżeniu swych dzieł do mas czytelniczych) i jak swój sens stracił w Stanach Zjednoczonych.

Aby korzystać z książki w sposób świadomy, to jest, aby korzystać z niej jako ze środka rozwijania naszej osobowości, nie wystarczy sama umiejętność czytania. Potrzebne są pewne podstawowe wiadomości, pewne przygotowanie, jakie w praktyce dać może tylko szkoła. Profesor A. B. Dobrowolski słusznie to zagadnienie postawił i rozwinął. W obrębie nauczania szkolnego mieszczą się książki-podręczniki, które są jednymi z narzędzi zdobywania tego przygotowania. Ale i poza szkołą, na terenie samouctwa indywidualnego czy zorganizowanego kształcenia pozaszkolnego, niezbędne są książki-podręczniki, dające rudymenty wiadomości, zawierające wskazówki metodyczne, wprowadzające w świat podstawowych zagadnień. I niewątpliwie wszędzie — a zwłaszcza w pewnych dziedzinach wiedzy — potrzebne są opracowania „popularne", zbliżone do podręczników, uprzystępniające szerokim masom czytelników osiągnięcia nauki, informujące o tym, co pracownicy naukowi zdziałali, jak pracują, co zamierzają osiągnąć.

Literatura taka jest niezmiernie potrzebna i należy sobie życzyć, by czyniła ona zadość tym postulatom, jakie pani Zalewska postawiła pod jej adresem. Ale potrzeba istnienia takiej literatury nie przekreśla zasadniczej tezy o konieczności zacierania granic między książką naukową i popularno-naukową. Rzecz w tym, aby produkcja uczonych, o ile jest to tylko możliwe (a w zakresie nauk społecznych jest z pewnością możliwe!) stała się bezpośrednim pokarmem i bodźcem dla najszerszych mas społecznych.

W rozważaniach swych pani Zalewska wymienia nazwiska autorów polskich, których naukowe prace dotarły do szerokich mas czytelniczych. Piękna to lista i zgoła nie mała! A choć większość umieszczonych na niej osób nie nosiła nigdy tóg profesorskich, to przecież byli to rzetelni uczeni, o nieprzemijających zasługach dla nauki polskiej i dla polskiej kultury. Ludwik Krzywicki był bardzo wielkim uczonym. Ale był także wielkim wychowawcą mas, który, żyjąc dla określonych ideałów społecznych, w swym dziele naukowym widział narzędzie walki o urzeczywistnienie tych ideałów.

W Polsce dużo się zmienia. Jedną z konsekwencji tych zmian musi być przeobrażenie się funkcji społecznych uczonych i nauki. Musi to prowadzić do zaniku kastowości, jaka wciąż cechuje świat polskich uczonych, i do zaniku tych scholastycznych form wypowiadania się, w jakich ciągle lubują się nasi uczeni autorowie. Ich mądrość nie może być przeznaczona wyłącznie dla małego grona ich wtajemniczonych przyjaciół. Wielka produkcja naukowa musi mówić językiem zrozumiałym dla tych, którzy szukają wiedzy, musi mieć na celu masy. Jeżeli uczeni taki cel sobie postawią, to dadzą się przezwyciężyć trudności, jakie stwarza brak talentów pisarskich, organiczna niezdolność jasnego i prostego formułowania myśli. Przy pracy zespołowej, odpowiednio zorganizowanej, trudności takie dają się przezwyciężyć. Kto nie wierzy, niech zapozna się z pracami uczonych niektórych obcych krajów. Między innymi — z pracami uczonych amerykańskich. I choć w Stanach Zjednoczonych jest wiele rzeczy, których naśladować nikomu nie radzę, to styl, jasność, przejrzystość, słowem — popularność prac amerykańskich uczonych bardzo polecam uwadze ich polskich kolegów.

Aleksander Hertz

JAN HUSZCZA

WE WŁADYSŁAWOWIE

WSZYSTKO już teraz wskazywało na to, że Antoni Malkiewicz postanowił osiedlić się we Władysławowie.

Jeszcze kilka domków było niezamieszkanych. Któregoś niedzielnego popołudnia Antoni z Pawłem Świderskim wybrali się niby to na przechadzkę. Chodziło jednak o to, żeby przyjrzeć się bliżej tym ziejącym pustką zagrodom.

Być może, gdzieindziej znalazłoby się coś lepszego. Ale Malkiewicz miał dość włóczęgi, nagle nawet opuściła go odwaga do jeżdżenia pociągami. Wydawało mu się także, że jeśli stąd wyjedzie, to znowu może gdzieś się zawieruszyć. Pozatem odgrywała rolę perspektywa sąsiedztwa ze Świderskimi i poczucie, iż — niezależnie od tego, jak się w najbliższej przyszłości ułożą stosunki między nim a Pelagją — znajdzie, jeśli nie we wszystkich, to przynajmniej w Pawle pewne oparcie i może nawet na początku pomoc. To, że czekały go znaczne i prawdopodobnie liczne trudności, wcale go nie przerażało. Nie dlatego, żeby nie był zmęczony, a dlatego, że niejasno zdawał sobie sprawę, iż czeka na niego okres stabilizacji. Przypominał zmęczonego pływaka, który jednak już widział przed sobą brzeg i tylko musiał zdobyć się na kilka jeszcze trudnych wyrzutów rąk przed siebie, aby ten brzeg osiągnąć. Uspokajająco wpływał na niego także fakt, iż ostatni osiedleńcy władysławowscy również często zaczynali od niczego.

Szli tedy drożyną, pełznącą między trawami ku szosie. Przy szkole minęli większą grupkę młodzieży, która radziła nad zorganizowaniem wieczorynki. Zdala wymienili pozdrowienia i przeszli w milczeniu. Paweł, jako człowiek żonaty, nie istniał właściwie dla tej młodzieży, o Antonim jeszcze zamało wiedziano, pozatem nie wyglądał w tej chwili na takiego, co myśli o rozrywkach.

Obejrzeli przedewszystkiem dwa domki, znajdujące się w zachodniej części wsi. Ani w domkach, ani w stodołach niczego właściwie nie znaleźli. Ci, co przyjechali wcześniej, zdążyli je speneterować i w myśl zasady kto pierwszy ten lepszy — zabrali z nich wszystko, co mogło mieć poważniejszą wartość użytkową. Drzwi przeważnie były pozdejmowane, w drzwiach sterczały tylko haki, między wytłuczonemi jeszcze w czasie działań wojennych oknami komunikował się wiatr, żałośnie poskrzypywały żółte okiennice. Na ścianach widniały nasmarowane węglem przez podrostków, nieprzyzwoite rysunki i napisy. Szeleściły jakieś papierzyska, przygniecione w wielu miejscach ludzkimi odchodami. Nie lepiej było w stodołach i oborach. Czepiała się nóg zbutwiała słoma przez szpary w dachach siniało płynące pierzastymi obłokami niebo. Tu i ówdzie leżały części maszyn rolniczych, koła z powyrywanemi szprychami, pogięte blaszane latarnie, zerdzewiałe noże żniwiarek. Pod osmoloną, owlaną sadzami ścianą stał zepsuty siewnik. Na drzewkach wisiały nieliczne jabłka.

Nad wszystkiem unosił się smutek opuszczenia.

— Widzę, co niełatwo tu byłoby zażyć się — powiedział Świderski. — Ale jest jeszcze w drugim końcu wioski jeden dom. Może tam?...

Wyszli więc znowu na szosę i ruszyli w przeciwległym kierunku. Za sklepikiem „spożywczym i drobnych towarów" Wasilewskiego, w poł.-wschodniej części wsi, stał ten domek, o którym wspomniał Paweł.

Patrząc zbliska na obejście, Antoni trochę się ożywił. W porównaniu z tem, co oglądali przed chwilą, zagroda prezentowała się wcale zachęcająco i na pierwszy rzut oka robiła wrażenie dopiero niedawno opuszczonej.

Na frontowej ścianie domu, obok cementowego ganeczku, widniał porządkowy numer zagrody „53".

Więc tak to wyglądało: dom stał na samym brzegu wsi, tuż przy szosie, miał dwa końce. Przez ganeczek, ocieniony daszkiem, wchodziło się do środka. W ramach okiennych tkwiły jeszcze gdzieniegdzie szyby. Wyglądały jak oczy, w których głębi czai się pustka. Wewnątrz było dość czysto, gdyby wyszorować podłogę, zaświeciłaby jasnemi deskami. Z okien widziało się sad, otoczony niskim żywopłotem. Z jednej strony dom oskrzydlały zabudowania gospodarskie, z drugiej, naprzeciwko okna chyliła się brzoza, dalej wznosiły się niewysokie, porośnięte trawą pagórki, z pod których wypływał wąski strumyk wody, wlewającej się do niewielkiego jeziorka. Widok na brzozę godził szybko oko z tym krajobrazem, ona otwierała siniejący w oddali horyzont.

Antoni spróbował przytupnąć, uderzając obcasem o podłogę.

— No — powiedział — możnaby tu nawet tańczyć, gdyby kto zagrał...

Weszli do wozowni. Pośrodku stała, upstrzona resztkami zielonego lakieru, bryczuszka bez trzech kół i bez miękkiego siedzenia, które ktoś bezlitośnie wyszarpnął razem z okuciami. W kątach rozrzuciła się graciarnia. W oborze znaleźli maszynę, której przeznaczenia jednak nie znali, mimo, iż Antoni był kiedyś traktorzystą i należał do ludzi z mechanizmami otrzaskanych.

Wreszcie po obejrzeniu wszystkich zabudowań, zatrzymali się pośrodku podwórka, przy zepsutej pompie.

— Aha — stwierdził, zapalając papierosa Antoni — tutaj, to zupełnie co innego. Jakoś aż weselej patrzeć... Ile też ten pięćdziesiąty trzeci numer ma ziemi?

— A wot chodź odrazu do sołtysa, niedaleczko to stąd — wysunął się pierwszy z podwórka Świderski.

Minęli zagrodę jedynego w tej wsi przedstawiciela Mazurów, Franca Wieczorka, który stał w oknie, kurząc fajkę. Przeszli przez obsadzoną klonami ścieżynę i idąc wpoprzek wsi zeszli ku wąskim pasmom łąk, za któremi ciągnęły się zagony.

Zagroda sołtysa stała samotnie. Już zdala zwracała na siebie uwagę solidnością i zagospodarowaniem. Za drucianą siatką gęgały gęsi, kudachtały indyki i kury. W otwartych wrotach stodoły widniały bronzowe końskie zady.

Sołtys, Władysław Wartoń, pochodził z Sandomierszczyzny. Znalazł się tu jeszcze w 1943-im roku, w odległym o dwa kilometry od wsi majątku na przymusowych robotach. Dwaj jego towarzysze nie wytrzymali nieludzkiego traktowania, on jakoś przetrwał. Po ucieczce Niemców został i odrazu zakrzątnął się koło wynalezienia dla siebie odpowiedniego gospodarstwa, gdyż nie chciał wracać do swoich rodzinych czterech morgów piasku. Był to okres przemarszów wojsk, okres bardzo niespokojny i obfitujący w przykre niespodzianki, co dzień, co noc stawiający życie pod znakiem zapytania. Wartoń jednak zaryzykował. W kilka miesięcy później sprowadził rodzinę. Ryzyko stokrotnie się opłaciło, gdyż niewątpliwie należał teraz do najzamożniejszych gospodarzy. Ważne było i to, że podczas przymusowej pracy zapoznał się z maszynami rolniczemi i teraz w pełni je zastosowywał, dzieląc się chętnie doświadczeniem z innymi gospodarzami. Zbierał nawet szczątki tych maszyn, ciągle coś montował i przysposabiał. Na tym punkcie był szczególnie czuły. Cenił każdą maszynę. Dbał również o to, by podobnie zachowywali się inni. Wiele miał z tem niekiedy kłopotów. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że można oto zmienić metody pracy na roli, że w wielu wypadkach można ręce z powodzeniem zastępować narzędziami. Niektórzy mieli w sobie zbyt głęboko zakorzeniony ideał „pracy podawnemu"... Raz omal nie doszło do bójki. Było to owego czerwcowego wieczoru, gdy przesiedleniec Siudyga — po zwąchaniu się z jakimś toruńskim macherem — załadował na wóz nowiuteńki silnik spalinowy, chcąc go odtransportować do stacji. Wartoń postawił na nogi prawie całą wieś. Próżno Siudyga pomstował, ciskał się i napierał piersią na sołtysa. Próżno sięgnął po najbardziej jątrzący argument — szydził:

— Przecież i tak wszystko pójdzie do kołchoza!

— Jo ci dom, skurwysynie, kołchozy! Prędzy moja matka wyjdzie z grobu, niż tu będą te kołchozy!!!

Silnik został we Władysławowie. Podczas młocki ciągnął nawet z niego Siudyga zyski.

Od imienia sołtysa wzięła nazwę cała ta wieś. Kto pierwszy rzucił myśl takiego jej nazwania, dzisiaj już nie pamiętano.

Gości, a właściwie interesantów, przyjął Wartoń ze zwykłą sobie życzliwością. Tembardziej, że lubił słuchaczy, przed którymi mógł sięgać do swoich wspomnień z okresu robót przymusowych, kiedy to na noc stale zamykano ich w piwnicy dworskiej, dlatego rzekomo, żeby nie zbiegli.

Gdy mu wyjaśniono cel odwiedzin, spoważniał, przybrał trochę urzędową minę. Oczywiście, miał u siebie dane, dotyczące wszystkich zagród. Wyciągnął ze skórzanej torby zaśliniony od kartkowania, zapisany ołówkiem, zeszyt w ceratowej oprawie. Słabo jednak w nim się orjentował. Prowadziła go bowiem, zdaje się, jego córka. Zniechęcony, odłożył wreszcie zeszyt i zaczął wszystkie dane biegle wyliczać z pamięci. Po papiery, jakby stąd wynikało, sięgnął tylko w celu zaimponowania przybyłym.

Do „53" należało osiem ha ziemi, w tym pięć ornej.

Malkiewicz się zawahał. Czy aby poradzi? Ale wahania przeciął sołtys, oświadczając, że nie można rozdrabniać. Jeśli się bierze gospodarstwo, to całe. A że nie da rady? No, pierwszego roku zaorze mniej, następnego już więcej. Po kilku latach sam będzie zadowolony z tego, że został właścicielem porządnego gospodarstwa. Niejeden tu zaczynał od skopania grządek ,a teraz ma pełną stodołę snopów...

— Trzeba będzie jeszcze pomyśleć — powiedzieli, żegnając się z Wartoniem.

***

Na pierwszą niedzielę września sołtys Wartoń zwoływał do szkoły wielkie zebranie gospodarzy z całej wsi.

Zebranie było zapowiedziane na dziesiątą zrana... Na dwa dni przedtem biegał po zagrodach syn Wartonia, a i on sam wieczorami wstępował do niektórych domów.

Nakrapywał deszczyk, niebo zaciągało się chmurami, wiatr strącał kasztany. Leżały porozciskane kołami na asfalcie.

Pierwszy przyszedł sklepikarz Wasilewski. Obszerny pokój był jeszcze zupełnie pusty na tablicy bielało wypisane kredą, częściowo starte zadanie arytmetyczne z ostatniej sobotniej lekcji.

W kącie stała szafka biblioteczna. Za szybą leżało kilka książek.

Wasilewski zajął miejsce w pierwszej ławce przed stolikiem nauczycielskim. Po chwili zajrzał nauczyciel Brzóska. Mieszkał w przyległym pokoju. Był to młody jeszcze, ale już łysy człowiek, pochodził z Wilna. Żona jego została rozstrzelana przez szaulisów w Ponarach. Były to wzgórza i stacja odległe od miasta o jakieś dziesięć kilometrów. Córka uczyła się w gimnazjum w Ł... Wchodzącego nauczyciela powitał Wasilewski:

— Łysi, panie kochany, zawsze przychodzą najwcześniej!

— Czegóż pan chce, jeszcze nie ma dziesiątej, zaraz zaczną się schodzić wszyscy — rzeczowo, oschle zauważył Brzóska i usiadł obok sklepikarza.

Rzeczywiście, na ganku rozległ się szurgot butów otrzepywanych z błota o słomiankę. Weszli: Wartoń, Świderski, Malkiewicz i Pałulewicz. Wślad za nimi zjawił się siedemnastoletni Kownacki.

— Jakże ojciec? — zwrócił się do niego nauczyciel.

— Nie lepiej... Ledwo po chałupie chodzi...

Wartoń odwołał Brzóskę na stronę. Miał zamiar poruszyć dzisiaj wiele ważnych spraw a m. in. i sprawę szkoły.

— Jakzes tam, panie nauczycielu, chodzą dzieciska do szkoły?

— Nie najlepiej, nie najlepiej! — powtarzał Brzóska. — Dzieciaki ciągle zajęte są w polu. Pracują jak dorośli. Pamięta pan, w zeszłym roku było to samo. Dopiero, gdy się skończyły polowe roboty, wtedy napłynęli hurmem.

Wartoń podrapał się w łysiejącą głowę. Ciężka to była sprawa. Wieś ciągle miała za mało dorosłych rąk do pracy.

Powoli schodzili się inni. W dwóch rzędach ławek tylko nieliczne miejsca zostały wolne. Częstowano się papierosami, przygadywano sobie, pokpiwano z Onoszkowej, która przyszła sama zamiast przysłać męża:

— A to kuma trzyma swojego w domu, cóż to on, nie mężczyzna czy co?

Onoszko rzeczywiście zbytnio ulegał żonie i dawał się zawsze spychać w cień. Wszystko załatwiała Onoszkowa...

— Ale, ale... cy nie cas zaczynać? — głośno niecierpliwił się Kobiela.

— Cekajze, chłopie, jesce mają przyjechać kierownik przesiedleńcy z powiatu...

— Bardzo on tu nam potrzebny!... Znamy go! Dużo gadania, a mało robienia... — krytykowano referenta.

Tymczasem Wartoń usiadł przy stole, wyciągał zwitek papieru z nazwiskami, Sylabizował je, wodząc po nich grubym, porysowanym szramami palcem. Po każdym przesylabizowaniu podnosił oczy z nad papieru i wypatrywał właściciela nazwiska:

— A Siudyga gdzie?

— Siudyga? — ktoś śmiejąc się powtórzył. — Mówił, że nie przyjdzie. Nie chce tu dłużej zostawać. Wraca z powrotem nad Wisłę.

— Taki to był z niego i pożytek! — oceniano teraz Siudygę. — Syna zostawił na swojem gospodarstwie pod Sandomierzem, sam niby tu mieszkał, ale tylko tak i patrzył, żeby stąd co ucapić i wywieźć do syna.

— Wasiakowej nie ma! — stwierdził sołtys.

— I nie będzie. Sołtys zwoływałeś gospodarzy, a ona ma tylko kozę i nie uważa się za gospodarza!

— Źle robi — wtrącił się ktoś jeszcze. — Wasilewski nie ma nawet kozy, aliści przyszed...

— Kozy nie ma, zato sklep!

— Pilnuj, Gawryluk, swojego nosa i bendzi dobrzy — zarepliikował zaczepiony.

Zaturkotały pod oknami koła i już wysiadał z taradajki „kierownik przesiedleńczy". Widząc to Wartoń, wyszedł przed ganek.

Referent wydziału osadniczego, dobrze odżywiony starszy pan, najpierw wstąpił do mieszkania Brzóski, zostawił tam narzutkę i dopiero potem pojawił się na sali ze słowami:

— Obywatele, moje uszanowanie!

Wartoń stanął przy piecu, założył ręce w tył, i zaczął:

— W ten sposób uwożom zebranie za rozpoczęte. A przede wszystkiem chciołbym powitać pana obywatela kierownika! Porzondek dzienny bedzie taki: nojpirw przemówią pon obywatel kierownik, potem będą sprawy... znowu o ten siw się rozchodzi, o kunie, o pomoc jednego dlo drugiego...

Referent chrząknął, przestąpił z nogi na nogę, wcisnął dwa palce do kieszonki kamizelki i zaczął:

— Witam was, obywatele, znowu, prawda, spotykamy się na zebraniu gromadzkiem, żeby, prawda, poruszyć najistotniejsze... tak, najistotniejsze kwestie związane, prawda, aktualne, prawda, z rzeczywistością? Równolegle, prawda, powinniśmy zdać sobie sprawę z wyjątkowych, prawda, zadań, jakie na siebie przyjęliśmy, aby, prawda, czyn nasz, my, spełniający, prawda, rolę tutaj pionierów... prawda, doprowadzili, prawda, do pożądanego celu... jeszcze, prawda, brak nam tej świadomości politycznej, ale, prawda...

I tak przemawiał, co najmniej w ciągu trzech kwadransów. Kiedy skończył, rozległy się nikłe oklaski. Trwały tak krótko, że nie zagłuszyły zjadliwej uwagi Kobieli:

— Alez un i prowde lubi! Porządne musi być ciecysko!

Referent usiadł niebardzo zadowolony ze słuchaczy, odwrócił twarz od sali, patrzył uporczywie w okno. —

Do stołu zbliżył się Wartoń. Zaigrał mu na twarzy przelotny uśmieszek:

— Muszę podziękować w imieniu moich ludzi za tak piekne przemówienie. Momy teroz na sercu otuche...

Potem rozpoczął zwięźle i rzeczowo referować zagadnienia, dla jakich zostało zwołane zebranie.

Dotąd oddziały PUR-u wydawały jedynie zaświadczenia, „stwierdzające, iż ob. NN zostało przekazane gospodarstwo rolne poniemieckie po byłym właścicielu Niemcu"... itd. Gospodarze, mówił, domagają się, aby przyśpieszono wydawanie aktów własności Wspomniane zaświadczenia budzą niekorzystne poczucie niepewności i doraźności sytuacji.

Trzeba, mówił, wszystkiemi siłami starac się o to, żeby w 1947 roku jeszcze więcej obsiać ziemi. Da się to zrobić. Jeszcze nie wszystkie wykorzystano maszyny, które we wsi sie znajdują Pozatem, tak jak i przedtem, ludzie muszą sobie pomagać. Nie wszyscy mają krowy i nie wszyscy mają konie. O konie jak i o krowy w ogóle po wojnie trudno. A zwłaszcza na tych terenach. Dobrze byłoby wypożyczyć z sąsiedniego majątku traktor na czas jesiennej orki, która dotąd nie została zakończona. Tembardziej, że znajduje się tu traktorzysta Malkiewicz, który zgadza się na nim pracować... Ciągle, mówił, niezupełna panuje między ludźmi zgoda. Ci, zza Bugu bocza się na tych z Sandomierskiego, a także naodwrót. Jesteśmy wszyscy Polakami, czy nie jesteśmy, kończył. Niemiec i tak nas przetrzebił. Czas najwyższy, żeby iść ze sobą zgodnie...

Potem zabierali głos inni. Jak zwykle w takich wypadkach, było dużo słusznych narzekań i pretensyj. Było równie dużo i niesłusznych. Te jednak członkowie zebrania sami na ogół podcinali.

Stwierdzono, iż pomimo rozporządzeń i zapewnień, według których repatrianci zwolnieni mieli być od wszelkich ciężarów i świadczeń na rzecz państwa, praktyka w wielu wypadkach wygląda wręcz odmiennie.

Najwięcej uwagi zaprzątnęły zasiewy. Poprzedniego roku mało posiano żyta. Wiosną niektórzy wypożyczali owies z funduszu nasiennego. Teraz jednak wymaga się od nich zwrotu pożyczki w życie. I to w stosunku 1,2 kg żyta za 1 kg owsa... Niema gdzie kupować nawozów sztucznych, obornik zaś nie zawsze korzystnie wpływa na tę ziemię. No, i ze względu na niski stan pogłowia, o obornik trudno.

Znowu zabrał głos referent. Jak zwykle, przyrzekał pomoc, interwencję itd.

Miano już zakończyć, gdy wstał Malkiewicz. Opowiedział swoją sytuację, powołał się na to, że jest byłym żołnierzem i prosił o konia, gdyż podobno są jakieś unrrowskie konie. Prośbę jego z kilku miejsc żywo poparto. Tembardziej, że chce się, dodał, żenić.

Maculewicz, ojciec dwóch córek, podniósł dwa palce na znak, że chce zabrać głos. Głosu udzielono, więc wstał i z głębokim zainteresowaniem zapytał, z kim przedmówca chce się żenić.

Ale wtrącił się Wartoń, że to nie należy do spraw ogólnego zebrania.

Maculewicz usiadł wśród dookolnych chichotów.

Zebranie rozwiązano dopiero o drugiej po południu. Wzmagał się ukośnie tnący deszcz.

* * *

Podczas wieczornych pogawędek często powracano do tego wydarzenia sprzed dwóch tygodni. Stanowiło ono źródło śmiechu, komentarzy i złośliwych docinków. Po dziś dzień dokładnie nie wiedziano, o co to wtedy właściwie chodziło...

Dzień należał do tych łagodnych dni jesiennych, kiedy słońce świeci jakby z onieśmieleniem, w powietrzu wisi cisza, na szybach brzęczą muchy, ale coraz ospalej.

Ten i ów krzątał się na zagonkach, większość pracowała we wsi, przeważnie przy młócce. U Świderskich terkotała wypożyczona młocarnia, szumiał pas transmisyjny, łączący ją z silnikiem

U nich najpierw zjawił się ten zielony samochodzik. Zatrzymał się przed rosnącą z godziny na godzinę stertą wymłóconej słomy. Z „willisa" wyskoczył młody jegomość w przyzwoitym gabardinowym płaszczu, z cwikierem na mętnych oczach. Podszedł do Pawła, który właśnie oglądał rozsypane na dłoni żyto i wyciągnął rękę:

— Pętaczyk jestem, dziennikarz, przyjechałem z Warszawy, z odbudowującej się stolicy... celem moim: napisanie cyklu reportaży z życia na Ziemiach Odzyskanych! Obywatel rozumie, dane statystyczne, warunki bytowania, aklimatyzacja, racjonalizacja pracy, struktura postępu społecznego, ewentualne postulaty i przede wszystkim osiągnięcia, osiągnięcia...

I wskazując na Kazika, który widłami przerzucał snopy w pobliże młockarni, zapytał:

— A to co takiego?

Paweł nie wiedział, o co chodzi. W końcu, starając się przekrzyczeć terkot, odparł:

— Młócimy...

— Aha, rozumiem!

Pętaczyk wydobył z teczki notes, wieczne pióro i zapisał:

„Jesienne słońce stało w zenicie. Wiatr lekko poruszał listki drzew. Przede mną leżała wieś... Chłopski świat pracy znajdował się przy swoim warsztacie. Zapomocą rytmicznych poruszeń ciała, rzucał t. zw. w tych stronach snopy, używając do tego rąk i ich technicznego przedłużenia, wideł. Obok żwawo poruszała się młockarnia, dostarczająca ziarna, z którego będzie, skropiony potem chłopskim, chleb"...

Dostrzegłszy przechodzącego obok Kobielę, Petaczyk ruszył ku niemu:

— Petaczyk jestem, dziennikarz, przyjechałem z Warszawy, z odbudowującej się stolicy... celem moim... itd...

— Kobiela!

— Czy ma obywatel poczucie swego historycznego posłannictwa?

Kobiela bezradnie się rozejrzał. Wreszcie, aby wybrnąć jakoś z sytuacji, zauważył:

— Widzi mi się, będzie padać na wieczór, panie...

Dziennikarz notował:

„Spotkany przypadkiem ob. Kobiela jest świetnym przykładem nowego człowieka, który zdaje sobie sprawę ze swego posłannictwa. Przebija się to nawet z takich — na pozór, wydawałoby się, że drobnych i drugorzędnych — rysów, — jak troska o pogodę"!

Skończył pisać i wskazując na kurę, znowu zapytał:

— Co to za ptak?

Pytanie było tym razem sformułowane dosyć zrozumiale. Kobieli zrobiło się lżej:

— Kura!

— A co ona, obywatelu, w tej chwili robi?

— Grzebie się w słomie...

Odpowiedź była zadowalająca, gdyż Pętaczyk, nie zatrzymując już dłużej Kobieli, notował:

„Mieszkańcy trudnią się m. in. hodowlą kur. Kury są to ptaki, grzebiące w słomie... Widziałem jedną taką kurę na tle jasnej zieleni traw. "

Koło szofera tymczasem już gromadziły się dzieci. Ale zawarczał po chwili motor i ruszyli dalej, zatrzymując się dopiero przed zagrodą Palulewicza. Dzieci, które biegły wślad, z konieczności przybyły na nowe miejsce postoju „willisa" ze znacznym opóźnieniem, zadyszane.

Palulewicz, gdy zatrzymał się przed jego zagrodą samochodzik, rozmawiał właśnie w najlepsze z Onoszką.

Pętaczyk przedstawił się:

— Pętaczyk jestem, dziennikarz, przyjechałem z Warszawy, z odbudowującej się i t. d...

I od razu przystąpił do spełniania obowiązku:

— To co? — wskazał na kręcące się przy ohłoblach wozu źrebię.

— To co? — powtórzył Palulewicz, zdziwiony nieświadomością pana w garbardinowym płaszczu.

— Tak, to co?

— Źrebak...

— Jaka jest jego rola w procesie produkcyjnym?

— To znaczy? Że co? — podrapał się w głowę, sięgając ręką pod czapkę, Palulewicz.

— Do czego służy ten źrebak?

— Na razie do niczego nie służy. Ale jak wyrośnie, to będzie z niego koń!

Pętaczyk skwapliwie zapisał:

„Tuż obok znajdował się źrebak, rosnący na konia"...

Z kolei wskazał na zaprzężony wóz:

— A ten koń to własność prywatna czy uspołeczniona, spółdzielcza?

— A to nie koń — uczciwie sprostował Onoszko. — To, proszę pana, kobyła. Łatwo bendzi sprawdzić.

Dziennikarz uwierzył jednak na słowo. Nie sprawdzał. Tylko pouczająco dodał:

— Wkrótce konie... kobyły — poprawił się — zastąpimy traktorami! Nie możemy przecież ciągle trwać w epoce... — przerwał, zamyślił się — feodalizmu!

Drożyną szedł w tym czasie, beztrosko pogwizdując, sklepikarz Wasilewski. Niósł bańkę z mlekiem.

— A to kto? — wskazał ne niego Pętaczyk.

— Wesoły człowiek! Ma tu sklep. Ale nie oszukuje! — poinformował Onoszko, prawie jednocześnie przyjaźnie odpowiadając na pozdrowienie Wasilewskiego.

— Sklepikarz... i nie oszukuje? — oburzył się Pętaczyk. I natychmiast zgromił swoich rozmówców: — Klasowo uświadomiony chłop powinien trochę trzeźwiej patrzeć na otaczającą go rzeczywistość. Gdybyście, obywatele, przeczytali książkę pułk. Filistyńczyka p. t. „Źródła wyzysku w świetle badań psychoekonomicznych", tobyście nie uśmiechali się przyjaźnie do tego tam, jak on się nazywa...

— Łukasz Wasilewski!

— ...do Łukasza Wasilewskiego...

Skończył i podbiegł do idącej z koszykiem Wasiakówny:

— Pętaczyk jestem, dziennikarz, przyjechałem z Warszawy, z odbudowującej się stolicy... celem moim: napisanie cyklu reportaży z życia na Ziemiach Odzyskanych! Obywatelka rozumie, dane statystyczne, warunki bytowania, aklimatyzacja, racjonalizacja... Czy obywatelka prenumeruje czołowe pismo literackie tygodnik „Odrodzenie"?

Na policzki obywatelki wypłynął rumieniec, zawstydziła się, a potem z zażenowaniem wyznała, że nie, gdyż ma zaledwie siedemnaście lat i w ogóle matka nie wypuszcza jej wieczorami z chałupy...

Dziennikarz notował:

„Niektóre nasze pisma ciągle jeszcze nie docierają do szerokich mas, co stoi w jaskrawej sprzeczności z postulatami upowszechniania kultury... Małe zainteresowanie bieżącą produkcją literacką, to wynik naszej dawnej, niezdrowej struktury społecznej"...

Znowu zawarczał motor. Błękitniała smużka po spalonej benzynie. Pętaczyk zdybał na podwórku młodego Kownackiego:

— Pętaczyk jestem, dziennikarz, przyjechałem z Warszawy, z... itd Jak wygląda w tej chwili dochód społeczny wsi?

— To się rozumie — odparł z filozoficznym namaszczeniem Kownacki.

— Ale mnie, obywatelu, chodzi o cyfry! Ogólnikami nie da się wyczerpać zagadnienia. Cyfry, cyfry! Oto, na czym powinna się bazować obiektywna wiedza o rzeczywistości!

Kownacki wzruszył ramionami i chciał skryć się w izbie. Ale Pętaczyk trzymał go za rękę:

— Czy są jakieś postulaty, ewentualnie bolączki?

— Postulatów to tu nie ma, w tym roku urodzaj słaby, ale bolączki są... Malwinę Okuniów już drugi tydzień męczą zęby!

Pętaczyk notował:

„Ciemną stroną bytowania repatriantów jest ból zębów, który prześladuje ich już od dwóch tygodni. Jest to prawdopodobnie wynik zetknięcia się z nowymi warunkami życia"...

Jeszcze wskoczył do sadu, przeliczył — jeśli to jest możliwe — jabłka na najbliższej jabłoni, wyrwał z grządki i wepchnął do teczki jeden burak, zajrzał do chlewa i znowu siedział w „willisie"...

Pętaczyk zastał nauczyciela Brzóskę nad zeszytami:

— Pętaczyk jestem, dziennikarz, przyjechałem z Warszawy, z odbudowującej się stolicy i... (jak wyżej)...

— Bardzo mi przyjemnie, tu tak rzadko kto do nas zagląda, że..

Pętaczyk śpieszył się, to też przerwał Brzósce i przystąpił do zadawania pytań:

— Czy zerwano z tradycyjnym systemem nauczania?

— Na razie zerwano!

— To znaczy? — ucieszył się dziennikarz.

— Co tu dużo mówić, sam pan chyba rozumie, trudno o podręczniki, o pomoce naukowe, o książki dla biblioteki, o...

Na czole przybysza sfałdowała się zmarszczka. Pisał:

„Miejscowy nauczyciel nie robi, niestety, wrażenia człowieka postępowego. Wszystko wskazuje na to, że lekceważy sobie walkę o nowe oblicze szkoły...".

Pętaczyk śpiesznie ulokował się w „willisie". Zawarczał jeszcze raz motor. Samochód znikał na szosie, przesłaniany jesienną ciepłą mgiełką.

Ten godzinny bezmała pobyt dostarczył dziennikarzowi prasy warszawskiej wrażeń i materiałów dla dwunastu interesujących reportaży z życia we Władysławowie.

Ten sam pobyt stanowił również temat dla mieszkańców wsi. Wszystkie wspomnienia kończyły wyrazy współczucia:

— Sympatyczny jakiś człowiek. I grzeczny bardzo. Tylko — tu wskazywano palcami na czoło — brakuje mu którejś klepki. Aż szkoda! Młody człowiek, a już... Czego to też ta przeklęta wojna z ludźmi nie nawyrabiała...

* * *

W październiku odbył się ślub Walentyny z Antonim.

Ze względu na niezwyczajne okoliczności — panna młoda była młodą wdową z dzieckiem i mieszkała w Ł... jako sublokatorka, pan młody dopiero niedawno i to z wielkim trudem przystąpił do zakładania fundamentów pod przyszłe gospodarstwo — Malkiewicz początkowo planował, aby rzecz się skończyła na samej tylko ceremonii kościelnej. Tym bardziej, że ze względów materialnych, oboje na nic innego nie mogli sobie właściwie pozwolić.

Wtrącili się jednak inni. Przede wszystkim, spokrewnieni z Walentyną Onoszkowie. Raczej skąpi, przecież lubili niekiedy, w odpowiedniej chwili, błysnąć. Onoszkowa zadeklarowała przede wszystkim swoją gotowość do przeprowadzenia drugiej części obrzędu weselnego u siebie. Zaofiarowała Malkiewiczowi do dyspozycji swój dom i nawet część swoich zapasów. Że niby w przyszłości „się policzą".

Mimo to, obrzęd nie mógł mieć ustalonego przez dziesiątki różnych tradycyj przebiegu, był ich skróceniem i przeinaczeniem.

U „panny młodej" nie było żadnego przyjęcia. Czekała na Antoniego w towarzystwie druhen. Gdy tylko Antoni, w otoczeniu swoich dawnych i nowych znajomych, zjawił się w miasteczku, nie zwlekając pieszo udano się do kościoła.

Wypożyczone czarne ubranie było za ciasne i Malkiewicz i tak przecież poruszający się niezgrabnie, czuł się w nim nieswojo.

Przed murem, ogradzającym dziedziniec kościelny czekały na uczestników wesela dwie bryki, należące do uczestników orszaku weselnego.

Gdy wyjechali z miasteczka, harmonista, który już gdzieś zdążył łyknąć — nie wytrzymał, cierpliwość jego się wyczerpała, zaczął grać poleczki.

Dzień był złotawy, słoneczny, po rżyskach snuły się pajęczyny. Nawet ktoś westchnął: „Zupełnie jak dawniej u nas"...

A Onoszkowa rzeczywiście popisała się...

Po pierwsze, na spotkanie całej tej skromnej kawalkady wyszła przed ganek, niosąc na tacy chleb, sól i wódkę. Nalewał, podkręcając obfitego siwego wąsa, Wasilewski. W czarnym, pamiętającym dawne lata, przeniknięty zapachem naftaliny surducie, w wysokim gutaperchowym kołnierzyku wyglądał uroczyście i trochę jakby nie z tego świata. Tymbardziej, że z łysiną i surdutem kontrastowały bufiaste, kraciaste, wpuszczone do niskich butów spodnie. Obok stali Świderscy, nieco zdala ciekawscy wioszczanie.

Walentyna z wdzięczności pocałowała Onoszkową w rękę, chociaż ta wzbraniała się i kryła ją za spódnicę. Rozczulona, objęła wreszcie Walentynę i zapłakała. Malkiewicza na ten widok ogarnęło również rozrzewnienie, ciepła fala popłynęła pod samo serce. Dopiero teraz wyraźnie, jak nigdy przedtem, uświadomił sobie, że znów jakiś okres jego życia odszedł, zamknął się bezpowrotnie, okres, może najbardziej niebezpieczny. Czuł, iż wkracza w zupełnie nowe koleje, że stało się to, czego sam bardzo pragnął. To też z wdzięcznością spojrzał na Walentynę, na wszystkich stojących przed nim. „Gdyby mamuńka to widziała — westchnął do siebie — możeby teraz rada była jak i ja"... A po tym ucałował Onoszkową w rękę i Walę w policzki — tak jak przedtem po wyjściu z kościoła — Pawła

Wreszcie wszyscy, prowadzeni szerokim często powtarzającym się gestem ręki Onoszkowej i harmonią, znaleźli się w przestronnej, uprzątniętej izbie, pośrodku której stał zastawiony stół.

Jedzono ochoczo, gdyż dawno już minęła obiadowa pora, jeszcze zaś chętniej nalewano wódkę do różnokalibrowych szklanek i szklaneczek. Wkrótce też prysnął uroczysty i trochę sztywny nastrój. Pito zdrowie młodych przyczem ciągle ktoś wykrzykiwał: „gorzko, gorzko"... Małżonkowie musieli ulegać temu wołaniu i co chwila się całowali ku zadowoleniu wszystkich obecnych.

Ale znowu rozległy się dźwięki harmonii Stół przesunięto pod ścianę, młodzież wysforowała się na środek izby. Rozpoczął się pierwszy walczyk. Potem nastąpiły poleczki, zmieniane tangami.

Pod ścianą, nie chcąc całkowicie zrezygnować z wódki, został Onoszko, Wasilewski i Palulewicz. Palulewicz — ciemny, zawsze wyglądający jakby się golił dwa dni temu, o twarzy wąskiej, podłużnej, o policzkach ściągniętych w kilka zmarszczek — pił najwięcej. Wasilewski chwalił się swoją mocną głową i pragnieniem, ale pił, jak zwykle, w miarę. Lubił nie tyle wódkę, co towarzystwo. Już przyciągał Onoszkę za guzik samodziałowego frencza i zaczynał kolejną gawędę:

— Czy wiesz, sąsiad, jaka była facecja wczorajszego dnia...

Tańczono coraz zapamiętalej. Już po izbie krążyli i ci, których na wesele nie zapraszano. W otwartych naoścież drzwiach, mając za plecami ciepłą, pogodną noc jesienną, stali przyglądający się mieszkańcy wioski. Młodzież męska niekiedy wymykała się do kuchni, aby na własny koszt „trochę poprawić sobie w głowie": ten czy ów wyciągał z kieszeni butelkę, uderzając dłonią w dno, wybijał korek i raczył spienionym od wstrząsu płynem towarzyszy.

Kiedy Walentyna wyszła na chwilę do przedzielonego sionką, przyległego pokoju, aby spojrzeć na śpiącego tam Romka — swego syna z poprzedniego małżeństwa — Malkiewicz poprosił do tańca Pelagię. Czuł się trochę skrępowany, przecież poprzednio zaciągnął wobec niej pewne zobowiązania, jednak atmosfera rozbawienia ośmielała. Uważał właśnie za konieczne z tego skorzystać i zamienić z nią kilka słów. Ale wyglądało na to, że było to właściwie potrzebne więcej jemu samemu, niż Pelagii, która bawiła się doskonale, gdyż nadskakiwał jej młody Wartoń.

Gdy, po przetańczeniu poleczki, odprowadzał ją do krzesła, wcale nie wyglądała na markotną i powiedziała:

— No, Antoś, życzę ci na nowej drodze wszystkiego najlepszego... I żebyś doczekał się dzieci!

Słowa były banalne, ale dźwięczała w nich szczerość.

W tym samym mniej więcej czasie, po kątach, tu i ówdzie z Malkiewicza trochę pokpiwano:

— A syna to już ma gotowego!

Rozległa się replika:

— Nie lękajcie się, jeszcze dorobi sam...

W tok takich uwag wpadł Wasilewski:

— I wam, jak pożenicia sia, pomnoży!!!

Roześmiał się głośno, podkręcił znowu wąsa i odszukał w tłumie Onoszkową:

— Nu, kuma, a my co, gorszy?!

Krótką, pękatą z siwizną w kosmykach ciemnych włosów, czerwoną na twarzy — pociągnął do tańca.

Paweł Świderski jako wodzirej, komenderował:

— Koooszyczek... Panie do środeczka, panowie wybierajon...

Do środeczka wkręcił się jednak i Wasilewski, tłumacząc to, ku ogólnemu aplauzowi, tym, że boi się, iżby mu kto Onoszkowej nie sprzątnął z przed nosa.

W tańcu przyskakał do siedzącego z Palulewiczem Onoszki:

— A co bendzi, jak tobie baba odbija?

Stary kawaler i przebiegły sklepikarz wyżywał się. Udawał, że wszystko robi na serio.

Tańczyła również, ulegając to tej to tamtej prośbie, i Walentyna. Sztuczny mirt z welonem, w którym od początku czuła się nieswojo i który jej trochę przypominał pierwsze wesele, zdążyła dawno już zdjąć.

Pod oknem, siedząc na długim zydlu, pogrążając się we wspomnienia, lub okiem znawców oceniając pary, siedziały staruszki. Wśród nich była i matka Świderskich, śledząca przede wszystkim za Pelagią i Kazikiem. O największy niepokój przyprawiał ją Kazik. Chociaż był taki młody, to jednak często znikał w kuchni. W partyzantce jakże przedwcześnie zapoznał się z wódką. Aż musiała wstać, zaczekać na niego w sieni i zwrócić mu uwagę.

Gdzieś po północy znowu zaproszono do stołu, ale nie było na nim poprzedniego porządku. Przy nim również. Na jego skraju złożył głowę Palulewicz i chrapał. Ciągle spełniając rolę wesołka, nad samym uchem zaśpiewał mu Wasilewski:

„Nie zawracaj kontrafałdy,
że w Warszawie byłeś,
a po Saskiej Kempie
nigdy nie chodziłeś"...

Palulewicz zbudził się mało przytomny. Ni z tego, ni z owego zawołał:

— Januś zaprzęgaj!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Tym razem na dobre zaszumiało w głowie i Wasilewskiemu, gdyż już śpiewał ciągle. Kiedyindziej może byłoby to nużące, ale o tej porze gwar tak zgęstniał, że nikt na to nie zwracał uwagi. A on — stary huzar carski jeszcze z przed czasów pierwszej wojny — po skończeniu jednej zaczynał drugą piosenkę:

„Dali mi karabin
cebulą nabity
i kazali strzelać
do mojej kobity...".

W tym miejscu, uprzedzając znane sobie zakończenie, zadowolony, wcześniej niż inni z dowcipu, parsknął śmiechem i zakończył:

„ale nie strzelałem,
...bo się bardzo bałem"...

Nad ranem Walentyna i Antoni zniknęli. Byli zmęczeni, przejęci nadmiarem wrażeń, zmianą losu. Poszli więc, korzystając z uprzejmości gospodarzy, i zasnęli w jednym z ich łóżek. Ci, którzy ich nieobecność spostrzegli, chichotali:

— Isz, jak im niecierpliwi sia...

Rozrzedzały się ciemności październikowej długiej nocy, oddawna pokrzykiwały we wsi koguty, gdy wtoczył się między pary Wasilewski.

Szedł w wywróconym do góry sierścią kożuchu i, potrząsając nie wiadomo skąd wydobytymi łańcuchami, usiłował rozpędzić gości. Że niby wesele się skończyło i czas do domów.

Ale nie wszyscy byli mu posłuszni

(Fragmenty powieści o repatriantach).

Jan Huszcza

NORWIDIANA

MIECZYSŁAW JASTRUN

PAMIĘTNIK ARTYSTY*)

WSPANIALE wydana podobizna autografu „Vade-Mecum", poprzedzona wstępem znakomitego norwidologa Wacława Borowego, jest wydarzeniem kulturalnym i literackim. Cykl ten obejmuje większość najbardziej odkrywczych wierszy lirycznych Norwida. Znajdujemy tu obok „Fortepianu Szopena" i „Klaskaniem mając"... tak znakomite i pełne powagi moralnej wiersze jak: „Ironia", „Bogowie i człowiek", „W Weronie", „Laur dojrzały", „Wielkie słowa", „Liryka i druk" „Do zeszłej" i wiele innych.

Przedmowa Wacława Borowego ukazuje dzieje tego rękopisu, potwierdzające ironię przysłowia: „Habent sua fata libelli". Norwid napróżno zabiegał o wydanie swego cyklu u Brockhausa, Żupańskiego, Merzbacha. Ten wielki poeta, ten nędzarz, któremu pozostało parę złamanych ołówków i zardzewiałych rylców, tak pisał do wydawcy o swoim cyklu:

„Jest to moje „Vade-Mecum" złożone z 100 rymów najwszelakszej budowy, a misterną siecią wewnetrzną zjętych w ogół. Są to rzeczy gorzkie, może głębokie, może dziwne — niezawodnie potrzebne". Kiedy indziej tak wnikliwie i z poczuciem własnej odrębności określa swoją poezję:

„Jak wyjdzie z druku moje „Vade-Mecum" dopiero zobaczą i poznają co jest właściwa języka polskiego liryka... W doskonałej liryce powinno być jak w odlewie gipsowym: **zachowane powinny być i niezgładzone nożem te kresy, gdzie forma z formą mijają się i pozostawiają szpary"...**

Nadzieje poety nie spełniły się. Rękopis nie ukazał się w druku za jego życia. A kiedy później w burzliwym półwieczu zaczęły ukazywać się poszczególne utwory tego cyklu, zaledwie kilka z nich weszło w świadomość szerszych kół czytelników. Niniejsza edycja fototypiczna jest pierwszym wydaniem „Vade - Mecum", w kształcie, w jakim się do naszych czasów dochował. Nie jest to całość cyklu, niektóre jego ogniwa zaginęły.

Rękopis, który przez długie lata leżał wśród innych papierów poety, ulegał poprawkom i przeróbkom. Te zmiany odzwierciadla fototypia rękopisu. Liczne poprawki i skreślenia dokonane piórem lub ołówkiem ukazują dzieje wysiłku poety, trudu włożonego w rękopis dla zdobycia najdoskonalszego, najzwięźlejszego kształtu. Próby te i poprawki, nie zawsze szczęśliwe, wprowadzają w niejedną tajemnicę sztuki poetyckiej Norwida. W pierwszej redakcji strofa druga wiersza „Ogólniki" brzmiała:

Lecz gdy późniejszych chłodów dreszcze
Drzewa wzruszą i kwiatki zlecą,
Wtedy dodawać trzeba jeszcze:
U biegunów spłaszczona nieco...

Druga redakcja (skreślenia i dopiski grubym ołówkiem rysownika) wprowadza następujące usprawiedliwione zmiany:

Lecz skoro puchy kwiatów zlecą,
Nawalne gdy przeminą deszcze,
Wtedy dodawać trzeba jeszcze:
„U biegunów spłaszczona nieco"...

Gorzej na tych poprawkach ołówkowych wyszła ostatnia najsilniejsza strofa wiersza. Dotychczas znaliśmy ją w tym kształcie:

„Ponad wszystkie wasze uroki,
Ty, poezjo, i ty, wymowo,
Jeden — wiecznie będzie wysoki:
Odpowiednie dać rzeczy słowo!

Po zmianach, dokonanych przez poetę, tekst tej strofy tak odczytuje Borowy:

„Ponad mnogie wasze uroki,
O, poezjo, i ty wymowo,
Pozostanie jeden wysoki:
Odpowiednie dać rzeczy słowo!

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że redakcja poprzednia jest lepsza. Sądzę, że wiersza nie należy traktować jak testamentu, powinno się przyjąć najlepszą redakcję, nie koniecznie ostatnią, w wypadku, gdy poprawki są widocznie improwizowane, gdy pośpieszne rzuty ołówka na tekście kaligraficznym nie mają żadnej cechy stałości. Autograf długie lata leżał „bezczynnie" w szufladzie poety. W tych długich odstępach czasu poeta odczytywał go na nowo przygodnie między różnymi pracami w zmiennych usposobieniach i nastrojach, korektę wnosił dorywczo i znów odkładał rękopis. Może w końcu straciwszy nadzieję, że wyda go kiedyś, zniechęcił się do ostatecznego zatwierdzenia zmian wprowadzonych zbyt pośpieszną ręką?

*) Cyprian Norwid „Vade - Mecum". Podobizna autografu. Z przedmową Wacława Borowego. Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1947.

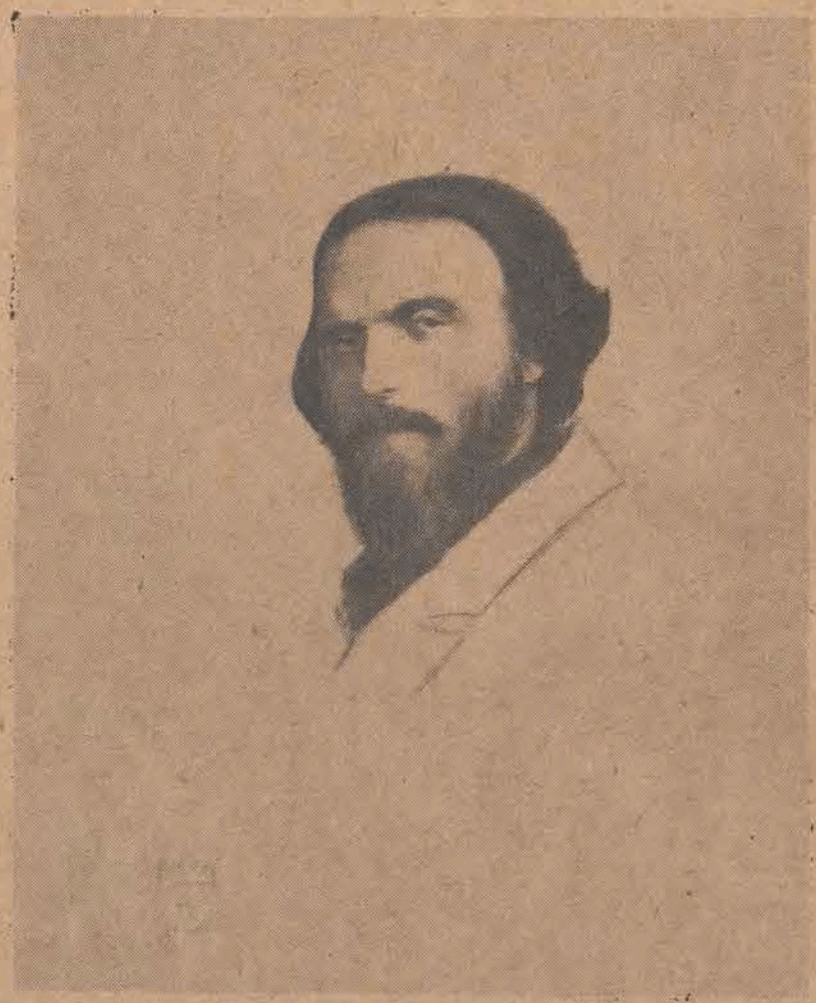

Cyprian Norwid

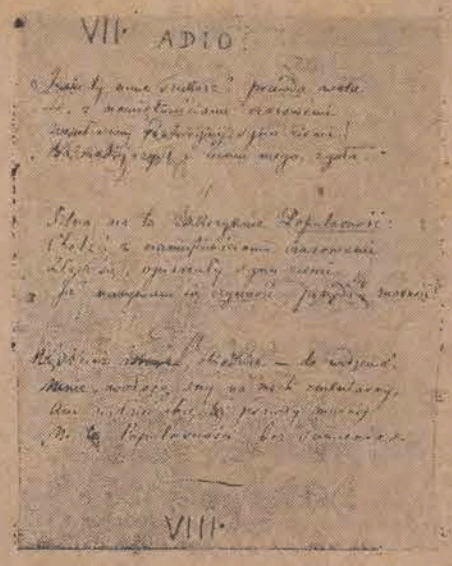

Norwid

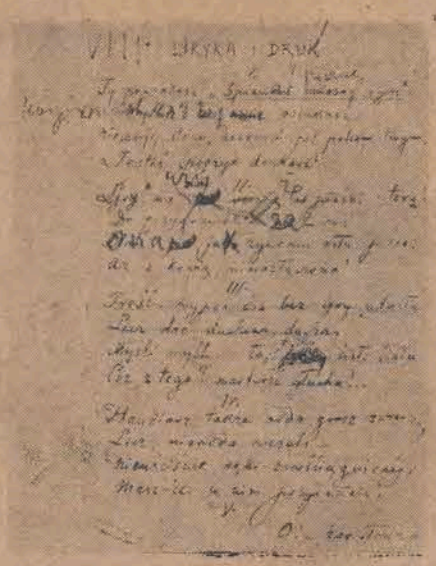

„Vade Mecum" autograf

Niektóre wiersze cyklu w autografie tłumaczą się jaśniej, np. utwór drukowany dotychczas pod tytułem „Czasy", w rękopisie ma nie tylko inną wersję pierwszej strofy, ale również i tytuł: „Socjalizm" i datę: 1848. W ten sposób utopia humanistyczna poety otrzymuje wyraźne tło historyczne i jawniej rysuje się konflikt poety z radykalnymi prądami epoki, których nie rozumiał.

Kogo interesuje tajemniczy proces kształtowania się utworu poetyckiego będzie śledził za zmianami dokonanymi przez autora na różnych wierszach, zmianami, nie zawsze, jak to widzieliśmy, szczęśliwymi. Nie mniej jednak jest w tych poprawkach metoda: poeta zmierza do uściślenia i uzwięźlenia tekstu, choćby kosztem eufonii. Norwid nie jest poetą wdzięku i powabu. Jest poetą surowej dyscypliny intelektualnej. Szorstkość jego wierszy jest zgodna z treścią, która służyć ma prawdzie, nie urodzie rzeczy. Stąd troska o zachowanie owych szczerb, zgrubień i zagięć w miejscach, „gdzie forma z formą mijają się i pozostawiają szpary". Tak również pozując fotografowi wolał by klisza utrwaliła rysy jego bez retuszów, postać w stanie zwykłego zaniedbania, nie w odświętnym przebraniu.

Niedarmo wyznał Norwid w jednym ze swych najdoskonalszych wierszy:

piszę pamiętnik artysty
Ogryzmolony i w siebie pochylon,
Obłędny!... ależ wielce rzeczywisty!

A oto prozaiczny komentarz do tego wiersza i do całego cyklu „Vade — Mecum" w liście poety do Mariana Sokołowskiego:

„Dołącz... ruinę zupełną w mych interesach finansowych, teatralnych, księgarskich itd. — bo wszystko zrujnowane — zostaje mi jeden widok, którego kochana Ojczyzna nie szczędziła nigdy żadnemu z nas, to jest cudzoziemski szpital. Zresztą, kto dziś ma kilkadziesiąt milionów majątku jak Virgilius, i przez 20 lat pracuje nad poprawkami poematu i spalić go każe na ostatek, i żyje za dni Augusta?"

Norwid znał wagę słów. Z ironią mówił o pokoleniu współczesnych mu poetów, których utwory wypalają się szybko jak świeczki. Żył w sferze „słów wielkich", które chcą trwać przez wieki. I miał prawo zwracać się do współczesnych z tą potężną drwiącą inwokacją:

I wrzeszczysz „dzisiaj!" ty, gdy twa korona
Dzisiaj jest w rękach, co zdawna umarły.
Jak gałąź, włosy wziąwszy Absalona
Skrzypiąca jemu i hufcowi: „karły!"

Ta poezja niełatwa, unikająca efektów jednodniowych, ciekawa nawet w pomyłkach i potknięciach, odkrywcza w myślach i w nieprzypadkowych załamaniach formy, z trudem będzie torowała sobie drogę do szerokich kół czytelniczych. Dla pisarzy polskich powinna stać się szkołą zwięzłości i może służyć przykładem odpowiedzialności za słowo.

Dla nich przede wszystkim wydaje się być przeznaczona ta fototypia, zbliżająca do rękopisu w jego nagiej, niewygładzonej drukiem surowości.

Mieczysław Jastrun

ADOLF SOWIŃSKI

Artystyczny komentarz do Norwida*)

TRUDNO byłoby powiedzieć, że pozycja Cypriana Norwida doznała tego samego rozprzestrzenienia po śmierci co jego sława pośmiertna, zainicjowana na początku bieżącego stulecia przez Miriama w wielu zeszytach „Chimery", narzuca się natomiast z łatwością orzeczenie, że sława pośmiertna tego poety stoi w olbrzymiej dysproporcji do jego rzeczywistej popularności pośmiertnej jak alarmowy dzwon pożaru zbyt dalekiego i zbyt odosobnionego, aby wywołać zbiegowisko. Ideał nie sięgnął ani bruku ani strzechy, nie przeszedł do języka potocznego jak setki zwrotów i określeń z innych poetów, nie stał się własnością ogółu chociażby tak, jak owe róże, których nie czas żałować, gdy płoną lasy. Rewindykowany do roli poety wielkiego i zrekonstruowany w swej twórczości do granic możliwości — jak się zdaje — ostatecznych, Norwid stał się czymś w rodzaju trudnego klasyka, a więc przylgnęła doń etykieta, której sam widok już mrozi krew w żyłach przeciętnemu odbiorcy poezji w szkole i poza szkołą. Jako klasyk (co dla ogółu oznacza przede wszystkim poetę godnego co prawda podziwu, ale nieczytelnego dla akademickiej martwoty swych idej i widziadeł), Norwid nabrał wszelkich cech **poety inteligenckiego**, a więc czytanego i komentowanego w środowisku ludzi o specjalnym typie wykształcenia humanistycznego. Ideał nie sięgnął zatem bruku.

Głównych przyczyn tego zjawiska należy doszukiwać się chyba przede wszystkim w samej poezji norwidowskiej. Stwierdzić bowiem należy, że poeta i myśliciel — bo na te dwa zasadnicze elementy rozszczepia się twórczość Norwida — zbyt często nie żyją u niego w zgodzie i potrafią wzajemnie zastępować sobie drogę, jak gdyby oryginalność poezji musiała koniecznie łączyć się ze stworzeniem nowego systemu filozoficznego, a system filozoficzny był nieodwołalnie skazany na wieloznaczny język poezji. Do tej poezji potrzebny jest komentarz, oznaczający małe partie tekstu obszernymi notami i scholiami, jak to widzimy w starych wydaniach „Boskiej Komedii" lub niektórych pisarzy greckich, komentarz wyjaśniający nie tylko zawiłości i aluzje, ale i odcyfrowujący zwykłe już dziwactwa języka zbyt indywidualnego, aby mógł być dostatecznie komunikatywnym. Dlatego jest to poeta wymagający przygotowania i entuzjazmu znawców, którym dziwactwo nie przeszkadza w zbliżeniu się do poetyckiej wielkości. To Paul Cazin, o ile mnie pamięć nie zawodzi, w czasie jednego ze swych przedwojennych pobytów w Polsce określił Norwida mianem „geniusza bez talentu", co by mogło oznaczać, że jest to wielki poeta podległy wielkiej i nieuleczalnej manierze. Fakt ten pozostanie faktem o znaczeniu artystycznym, gdziekolwiek szukalibyśmy jego źródeł: w kategoriach historii, literatury, religii, socjologii, psychologii czy — psychiatrii. Ale to tylko jeszcze jeden powód, dla którego Norwid jest poetą intelektualnie zawiłym, kuszącym do różnorodnych rozwiązań zagadki jego indywidualności.

„Żniwo na sierpie"*), rozległa powieść biograficzna Hanny Malewskiej, daje nam właśnie obraz Norwida jako poety inteligenckiego, ale nie kusząc się o spekulatywne rozwiązywanie zagadek posługuje się impresją psychologiczną jako kluczem do jego osobowości. Nie jest to Norwid ani ubrązowiony, ani odbrązowiony, jest to natomiast Norwid w takim oświetleniu, w jakim poeta może ujrzeć poetę. Dlatego w tej powieści Malewska, która w swej poprzedniej twórczości wykazała dokładną znajomość scenerii historycznej różnych epok i umiejętność tworzenia artystycznego układu z realiów historycznych, mało właściwie o historii mówi, jak gdyby w tym wypadku historia stawała się mniej ważną od poety. Nie jest to więc, ściśle biorąc, powieść historyczna, ale rekonstrukcja indywidualności psychiczno-literackiej wielkiego poety na tle wątłych realiów jego życia, zazębiających się niewieloma ogniwami wydarzenia swej epoki.

*) Hanna Malewska: „Żniwo na sierpie. Powieść o Norwidzie". Str. 415. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1947.

To, co określamy zazwyczaj mianem klasycyzmu, bywa chyba tylko doskonałym obrazem jakiejś epoki, której życie przestało być naszym życiem jako zespół pewnych elementów społecznych i kulturalnych, ale tym nie mniej zestawimy sobie z tych elementów zupełnie wyraźny obraz tej nieważnej dla nas epoki. W tym właśnie mieści się niezniszczalna i pouczająca rola wszelkich klasycyzmów. Gdyby bowiem jakiś kataklizm pochłonął wszystkie wytwory kulturalne danej epoki, a pozostało z niej jedno jedyne dzieło „klasyczne", rekonstrukcja epoki byłaby na jego podstawie zupełnie możliwa, jak obraz epoki achajskiej na podstawie Homera. Gdyby jednakże taki kataklizm pochłonął wszystko, co napisano i stworzono w latach romantyzmu polskiego, a pozostawił nam jedynie Norwida, rekonstrukcja kulturalna jego epoki okazała by się na pewno czymś bardzo odbiegającym od prawdy historycznej. To byłby Norwid, a nie epoka. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami tej „ahistoryczności" i „aklasyczności" możemy w „Żniwie na sierpie" znaleźć trafne i potwierdzające rozwinięcie tego zjawiska, u Malewskiej bowiem widzimy w całej pełni Norwida, a ledwie dostrzegamy epokę.

Jak wygląda z tego punktu widzenia Norwid „ahistoryczny"?

Krasiński, jak nas informuje autorka, powiedział o nim, „że sam sobie gwałt zadaje i z poety migotliwego, jak lucciola (robaczek świętojański, przyp. S. A.), robi się ciemnym prorokiem". Profetyzm był u Norwida rodzajem świadomej i skomplikowanej poetyki, która mu raczej przy pisaniu przeszkadzała niż pomagała, była bowiem rzeczywistym gwałtem nieubłaganej apodyktyczności, a to skłóciło go raz na zawsze z epoką. Ten maksymalista w życiu i sztuce, czyli człowiek niezdolny do uznania innych sił prócz własnej, chciał „przelecieć przez życie, jak przelatuje bitwę adiutant z rozkazem", ponosił więc klęskę po klęsce, bo epoki nie składają się z uproszczonego obrazu jednej bitwy, w wielu bitwach swej epoki był tedy nieproszonym intruzem. Tak widzimy go chociażby w Rzymie roku 1848-ego, gdy Mickiewicz tworzy swój Legion i swój „Skład Zasad", a Norwid w jego obecności na sejmiku u Zmartchwychwstańców mówi, jak pod pręgierzem, o gwałceniu czasu i cofaniu narodu w miazgę plemienną, wzdragając się tym samym przed zbyt prymitywną dlań formą mickiewiczowskiej demokracji. Ale pamiętajmy, że takie stanowisko potrafił reprezentować również hrabia Henryk z „Nieboskiej".

Autorka zajmuje zupełnie beznamiętną postawę wobec tej „ahistoryczności" Norwida, z którego — powiedzmy to szczerze — nie wydobywa żadnych koncepcji światopoglądowych na większą miarę, zdolnych jako twórcza negacja przeciwstawwić się epoce, co jest zresztą nieuniknionym wynikiem tematu. Norwid u niej to poeta zamknięty w prawdziwej wieży z kości słoniowej ponad szałasem Sulamitki, jeśli uświadomimy sobie, że drugim obok profetyzmu jego przekleństwem była piękna Maria Kalergis. Tego poetę autorka interpretuje po poetycku, bo impresja panuje nad fabułą, chociaż fabuła wykorzystuje najdrobniejsze dane biograficzne, których historia literatury przekazała nam, niestety, zbyt mało. Powstaje w ten sposób świetny komentarz artystyczny do Norwida niby astrologia wykładana swym własnym językiem.

Adolf Sowiński.

ZENON WIŚNIEWSKI

SURIKOW

Surikow — autoportret

W roku bieżącym Związek Radziecki obchodzi stuletnią rocznicę urodzin Surikowa — jednego z najlepszych rosyjskich malarzy.

W związku z tą rocznicą w czasopismach sowieckich ukazały się liczne artykuły, omawiające twórczość Surikowa. W salach Związku sowieckich malarzy urządzono wystawę, na której zgromadzono około 200 obrazów. Moskiewskie studio naukowo-popularnych filmów nakręca kolorowy krótkometrażowy pt. „Wasilij Iwanowicz Surikow". Film ten pokaże narodom radzieckim obrazy Surikowa, jak „Świt przed egzekucją strzelców", „Mieńszykow w Berezowie", „Bojarynia Morozowa", „Zdobycie Śnieżnego Miasteczka", „Ujarzmienie Syberii przez Jermaka", „Przejście Suworowa przez Alpy", „Stiepan Razin", oraz liczne studia, akwarele i autoportrety malarza.

*

Surikow urodził się dnia 24 stycznia 1848 roku na Syberii, w mieście Krasnojarsku. Pochodził z niezamożnej kozackiej rodziny, przybyłej znad Donu na Syberię prawdopodobnie w pierwszej połowi XVII stulecia.

Dzieciństwo i młodość spędził na Syberii. Artysta-malarz tak później określi wpływ tych lat na swą twórczość. „Już w latach dziecinnych wytworzyła we mnie Syberia ideały typów historycznych. Syberia także dała mi ducha, i siłę, i zdrowie". A „ideały historycznych typów" tak scharakteryzuje lapidarnie: „Mocni byli ludzie. Silni duchem. Rozmach we wszystkim mieli wielki. A usposobienia okrutne były . Na Syberii naród wolny, śmiały .."

W owych czasach utrzymywał się tam jeszcze patriarchalny sposób bytowania. Formy życia kapitalistycznego rozprzestrzeniały się powoli na te tereny, likwidując pradawne obyczaje i zwyczaje ludu, które przetrwały tu jeszcze od przedwielkopiotrowskiej epoki. Surikow widział jak toczyła się tu zapóźniona walka starej Rusi z napierającymi nowymi siłami. Wspomnienia oporu konserwatywnego ludu rosyjskiego przeciw nowoczesnym formom życia — wywarły poważny wpływ na charakter jego twórczości malarskiej.

W roku 1869 mając lat dwadzieścia wstąpił do Petersburskiej Akademii Malarstwa, którą ukończył w roku 1875. Po opuszczeniu murów Akademii osiadł w dawnej stolicy Rosji, Moskwie, której atmosfera—jak pisał—odpowiadała jego historycznym zamiłowaniom. „Gdy przyjechałem do Moskwy, byłem wprost uratowany. Stare drożdże, jak mawiał Tołstoj, podniosły się... Pomniki, place... wszystko to dało mi dekorację, w której mogłem pomieścić swe syberyjskie wspomnienia."

W Moskwie rozpoczął samodzielną działalność malarską, pogłębiając wiedzę podróżami do Berlina, Drezna, Paryża, Wiednia, Włoch Nie zachwycał się impresjonizmem Moneta, ani Renoira, czy Degesa. Natomiast wywarły na nim wielkie wrażenie arcydzieła starych ministrów: Tycjana, Veronese,a, Velasquez'a, Michała Anioła, a w szczególności podziwiał Tintoretta.

Pełny rozkwit talentu Surikowa przypada na ósmy i dziewiąty dziesiątek lat XIX stulecia.

Był to okres najbujniejszego rozwoju rosyjskiej kultury i wznoszenia się rewolucyjnej fali, która miała niebawem obalić carat i znieść z powierzchni rosyjskiej ziemi przeżytki magnackiego feudalizmu i ustrój kapitalistyczny. W epoce tej wraz z rosnącymi nastrojami rewolucyjnymi rozwijał się żywy ruch kulturalno-naukowy, przepojony ogólnoludzkimi ideałami, wyrażonymi w dziełach Seczenowa i Mendelejewa, Tołstoja i Czechowa, Mussorgskiego, Czajkowskiego i wielu innych.

Dzieła ówczesnej rosyjskiej kultury miały swą genezę w głębokim nurcie rewolucyjnym, który ogarnął całą postępową inteligencję rosyjską. Stąd rosyjska kultura tego czasu była krytyką rzeczywistości, protestem przeciw społecznej niesprawiedliwości, buntem przeciw przemocy systemu carskiego i wezwaniem do walki o wolność.

Znaczenie Surikowa polega na nowatorstwie tematycznym i nowatorstwie interpretacji ideologicznej tematu historycznego. Surikowa nie można zaliczyć do uzdolnionych ilustratorów oficjalnej, inspirowanej przez carat historii samodzierżawia. On pierwszy w dziejach malarstwa historycznego Rosji nie chciał malować upozowanych pretensjonalnie carów i bohaterów narodowych. Surikow zwrócił oczy na tłum, lud, naród. Był on pierwszym rosyjskim malarzem, który zrozumiał rolę ludu jako czynnika współtworzącego dzieje Rosji. Z siłą i pasją wypowiedział w swych obrazach ukochanie wolności przez lud rosyjski, tragizm ludowych buntów, bohaterstwo i odwagę ludu. Surikow wyprowadzał z domostw masy ludowe na drogi i place publicze. Zwłaszcza pokazywał lud w ruchu w działaniu, w momentach największego napięcia sił moralnych i fizycznych.

Umiejętność wyrażania rysunkiem i barwą prawdy psychologicznej nadaje obrazom Surikowa silną ekspresję. Malarz-artysta, jak wszyscy wielcy twórcy, malując dawne, historyczne sceny, potrafił postawić przed widzem aktualny zawsze, ogólnoludzki, moralny, bądź psychologiczny problem. Dzięki temu obrazy jego, niezależnie od tematu, są świeże i żywe, interesują i wzruszają.

Nie ma wielkich dzieł historycznych bez aktualnego akcentu Dzieło historyczne nie może znaleźć się w próżni ideologicznej, istniejącej rzekomo między przeszłością a teraźniejszością, na świecie nie było jeszcze wielkiego malarza przyszłości, który nie tkwiłby głęboko we współczesnej mu, aktualnej problematyce i nie pragnąłby w określony ideologicznie sposób kształtować otaczającej go rzeczywistości.

Do chwili wystąpienia Surikowa temat historyczny na obrazie znajdował się w całkowitej izolacji od życia. Zaznajamiał z jakimś faktem historycznym w sposób, że tak powiem średniowieczno-kronikarski, bez uwzględnienia przyczyn i skutków, bez uwzględnienia tła socjalnego i psychologicznego. Widząc na przed surikowskie obrazy historyczne nie rozumiał, że przed jego oczyna rozgrywa się prawdziwe wydarzenie, najzupełniej możliwe w jego epoce, tylko w innych okolicznościach i dekoracjach. Z obrazów Surikowa przemawia zawsze aktualna prawda życia.

Surikow był nowatorem nie tylko ideologicznej interpretacji historycznego tematu ale także nowatorem w zakresie techniki malarskiej— był indywidualnością silną, jednolitą i zdecydowaną, w zasadniczych założeniach artystyczno-ideologicznych nie zawahał się w ciągu swej twórczości nigdy.

Pasjonujące tego artystę tematy historyczne wypędzały go z malarskiego atelier i zmuszały do pracy na wolnej przestrzeni. Surikow posługiwał się wtedy technicznymi zdobyczami francuskiego impresjonizmu, którego dzieła poznał dobrze w czasie podróży zagranicą. Nie był jednak nigdy niewolnikiem tej techniki malarskiej.

Surikow był realistą. Impresjonizm był dla niego jednym z wielu cennych środków technicznych, wzbogacających jego realistyczną formę twórczości.

Sztuka Surikowa wypełniona jest harmonijnie wieloma tak zwanymi formalno-malarskimi elementami. Ale wszystkie te elementy służą ogólnej koncepcji twórczej. Surikow jest na przykład świetnym kolorystą, jednak kolorystyka nie występuje u niego nigdy teoretycznie, w oderwanym efekcie barw, przeciwnie jest organicznie związana z tematem, wykorzystana dla oddania kolorytu epoki, nastroju, wydarzenia, itp

Mimo całej wspaniałości — koloryt nie jest najgłówniejszym elementem, zasłaniającym inne elementy malarskie w jego obrazach.

Surikow zdawał sobie sprawę z wartości sztuki rosyjskiej i własnych niepowszechnych osiągnięć w dziedzinie malarstwa historycznego. Gdy rosyjskie muzea nie zgodziły się na wysłanie obrazów jego na Międzynarodową Wystawę — pisał do brata z goryczą: „Przykro mi, iż świat nie będzie wiedział, że mamy narodową sztukę".

Zenon Wiśniewski

Surikow — „Świt przed egzekucją strzelców"

TREŚĆ NR. 9:

Aleksander Hercen — **Camicia Rossa;** Jan Kott — **Groźny Dickens;** Mieczysław Jastrun — **Krytyka i poezja;** Seweryn Pollak — **Wielemir Chlebnikow;** Wielemir Chlebnikow — **Wiersze;** J. Ż. — **Wystawa zbiorowa Jana Cybisa;** Stanisław Brucz — **„Obcy" Camus'a;** Albert Camus — **Obcy;** Paweł Hertz — **Drwiny z Rentiera;** Stefan Żółkiewski — **Klasyczne dzieło realizmu socjalistycznego;** Jakub Litwin — **Dokument mieszczańskiej rewolucji;** Wanda Grodzieńska — **O uczciwy stosunek do spraw literatury dla dzieci;** Mariusz Margal — **Styczeń paryski;** Stefan Hrabec — **Obu-żenie na pisownię;** Kajetan Kotowicz — **Felieton gospodarczy; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.**

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Nie przypadkowo Amerykanie wybrali Czechosłowację na teren doświadczenia z balonem próbnym, jakim jest niewątpliwie, kryzys rządowy w tym kraju. Trzeba pamiętać, że atak zjednoczonej reakcji czeskiej nastąpił bezpośrednio po antykomunistycznym wystąpieniu ambasadora USA w Pradze, Steinhardta, przed jego powrotem z New Yorku.

Czechosłowacja, z którą wojna obeszła się bardzo łagodnie, znalazła się w 1945 r. w wyjątkowo korzystnej sytuacji ekonomicznej, która wobec bogatych tradycyj mieszczańskich i stosunkowo silnych wpływów partii narodowo-socjalistycznej, nie doprowadziła do tak radykalnych reform, jak np. w Polsce.

Nie zapomniano wprawdzie, że w 1939 r. przedstawiciele agrariuszy, których kontynuatorem po wojnie stało się Czeskie Stronnictwo Ludowe, wolali, że wolą Hitlera, niż rosyjską pomoc, przykrymi zgrzytami były szowinistyczne posunięcia narodowych socjalistów, ale konieczność rozwiązania gigantycznego problemu Niemców sudeckich i realizacji dwuletniego planu odbudowy nakazała „zgodę narodową" w koalicji wszystkich partii, w czeskim Froncie Narodowym.

Jednak połowiczność rozwiązań ekonomicznych zaczęła się mścić po niedługim czasie, bo reakcja czeska, której nie pozbawiono silnych ekonomicznych podstaw, zaczęła rychło podnosić głowę, ośmielona zsynchronizowaną akcją międzynarodowej reakcji pod przewodnictwem USA, których wpływy i intrygi zaczęły się sączyć licznymi kanałami przez otwartą granicę amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech.

Rozumiała i demaskowała te niebezpieczne poczynania czeska klasa robotnicza.

Wydarzenia te zbiegły się nie bez przyczyny z zakończeniem konferencji Polski, Czechosłowacji i Jugosławii w sprawie Niemiec. Tak, jak rodzimej reakcji czeskiej nie podobała się zdecydowana wola czynników demokratycznych w dążeniu do przeprowadzenia pełnych reform gospodarczych i społecznych, tak jej anglosaskim protektorom, którzy są jednocześnie protektorami Niemiec, jeszcze bardziej nie podobała się zdecydowana postawa Czechosłowacji w sprawie niemieckiej, jej niezmienna linia polityczna, jej wspólny marsz z resztą krajów słowiańskich.

I dlatego z Zachodu dano sygnał do akcji, której ukoronowaniem miał być zbrojny pucz wojskowy.

Jednak zjednoczona reakcja czeska przeliczyła się z siłami, i zapomniała o najważniejszym w Czechosłowacji czynniku: o nieprześcignionym realiźmie politycznym szerokich mas.

Masy te bez trudu zrozumiały, że zwycięstwo reakcji i usunięcie od rządów Czeskiej Partii Komunistycznej, to likwidacja własnej niezależności gospodarczej, z której z tysiącznych powodów Czesi mogą być dumni, to zahamowanie wszelkich reform, a wreszcie takie zmiany w stosunkach międzynarodowych, w których Czechosłowacja przestałaby czuć się bezpieczną przed Niemcami.

A tego nie życzy sobie żaden patriota czeski. I jeżeli na ulice miast czeskich wychodzą setki tysięcy demonstrantów (a Czesi rzadko wychodzą na ulice), to ma to źródło w tym, co przeprowadziło naród czeski przez najcięższe chwile historii — w patriotyźmie i realiźmie politycznym tego narodu.

Klemens Gottwald nie lekceważył sił reakcji, ale również ich nie przecenia. W gorączce wydarzeń okazało się, że może liczyć nie tylko na karne szeregi Partii Komunistycznej i milionowe masy związków zawodowych, ale również na socjal-demokratów i na te elementy demokratyczne w partii narodowo-socjalistycznej, ludowej i w słowackim stronnictwie demokratycznym, które dotychczas tłumione przez reakcyjnych bonzów partyjnych staną w nowym Froncie Narodowym wespół z komunistami do pracy i walki.

Amerykański balon próbny rozbił się o wieżę Złotej Pragi.

II

Od decyzji ONZ o podziale Palestyny na państwo żydowskie i arabskie upłynęło już dużo czasu, a Wielka Brytania nie uczyniła nic, by stworzyć warunki, w których ostateczny podział mógłby nastąpić.

Wręcz przeciwnie. Wielka Brytania robi wszystko, by ten podział uniemożliwić, a przynajmniej sprowadzić jego wykonanie do tak karykaturalnych rozstrzygnięć, w których Żydzi w dalszym ciągu zostaną narodem tułaczy, a fanatyczni Arabowie będą mieli ciągle powód do napadów i gwałtów.

Imperialistyczne interesy Anglii chęć utrzymania bogatych źródeł naftowych na Bliskim Wschodzie i zabezpieczenia kanału Suezkiego, zbiegają się z klasowymi interesam arabskich feudałów, którym najwygodniej jest kierować niezadowolenie nędzarzy arabskich do walki z Żydami.

Bandy arbskie otrzymuja od Anglików broń i pieniądze, angielskie wojska prawie bezczynnie przyglądają się pożarom żydowskich osiedli, a jednocześnie paraliżują samoobronę Żydów (Haganah). Nie dopuszcza się do brzegów Palestyny imigrantów żydowskich (nie omieszkując zresztą trąbić o niebezpieczeństwie „infiltracji komunistycznej") i odbiera się broń żydowskim kolonistom.

Doszło do tak paradoksalnej sytuacji, że ci, którzy prawnie są jeszcze pod opieką brytyjską — Żydzi, zobowiązali się dostarczyć opinii światowej dowodów, że sprawcami eksplozji całych bloków w żydowskiej dzielnicy Jerozolimy są ci, którzy tę „opiekę" wykonują — Anglicy.

Tadeusz Kubik

ANIELA MIKUCKA

Z ROZWAŻAŃ NAD LITERATURĄ DZIECIĘCĄ

POSTULATY w stosunku do literatury pięknej dla dzieci sprowadzają się do dwóch zasadniczych: literatura piękna dla dzieci musi mieć charakter kształcący w najszerszym tego słowa znaczeniu i musi posiadać walory literackie. Rola kształcąca literatury dla dzieci z jednej strony jest uwarunkowana tym, że psychika dziecięca dopiero stabilizuje się, rozwija, przekształca i dojrzewa, z drugiej zaś — musi się trzymać ściśle ram, które jej zakreśla wiek biologiczny odbiorców. Funkcja kształcąca literatury pięknej nie jest równoznaczna z kształceniem w znaczeniu zwiększania przede wszystkim zasobu wiadomości, ale dotyczy kształcenia wszystkich stron psychiki dziecięcej.

Wielka plastyczność psychiki dziecięcej, wymaga wszechstronnego i harmonijnego rozwijania wszystkich zadatków na dojrzałego człowieka.

Funkcja literatury dziecięcej ma znaczenie doniosłe także i dlatego, że jest koniecznym i najdoskonalszym uzupełnieniem szkoły. Dziecko w książce znajduje to, o czym już wie ze szkoły, to jest pewne minimum wiadomości, przeżyć i doświadczeń. Wszystko inne jest uzupełnieniem, rozwinięciem tego, co daje szkoła i to w formie o wiele przyjemniejszej i zasadniczo dostępniejszej — bo w formie estetycznej i pod postacią zabawy. Funkcja literatury w wielu wypadkach jest przygotowaniem dziecka do przejmowania treści wszelkiego rodzaju: intelektualnych, społecznych, uczuciowych, estetycznych.

Potrzeba wielostronnego kształcenia dziecka przez literaturę, stawia bardzo zróżnicowane wymagania piśmiennictwu dla dzieci. Aby uniknąć ewentualnych nieporozumień przy ocenie poszczególnych książek, należy stwierdzić, że nie wolno wszystkich tych wymagań stawiać każdej książce z osobna i, że oddziaływanie na dziecko wtedy dopiero będzie miało istotne znaczenie wychowawcze — gdy dziecko będzie stykało się z szeregiem różnych książek i z różnego typu autorami.

Zagadnienie to łączy się bardzo ściśle ze specyficznym charakterem twórczości dla dzieci, gdzie prawdziwe talenty są ciągle jeszcze raczej rzadkością i dopiero wyrastają i kształtują się. Dlatego wydaje się konieczne kierowanie ich w tym sensie, że powinny one iść w kierunku, który im wytycza charakter ich talentu. Nie można naginać ich do wszystkich wymagań, jakie stoją przed literaturą dla dzieci. Nie można robić zarzutu Themersonowi, że jest za mało liryczny i uczuciowy — skoro ma on specyficzny talent popularyzatorski i nastawienie społeczne, albo Brzechwie, że za mało uczy — skoro rola jego książek polega na wyrabianiu poczucia humoru, na przyzwyczajaniu dziecka do doskonałej formy poetyckiej i na pobudzaniu funkcji intelektualnych. Podobnie od Janiny Porazińskiej możemy i musimy przede wszystkim oczekiwać kształcenia charakteru i uczenia życia w świecie i wśród ludzi przez jej głęboko mądrą dobroć — oraz uczenia wrażliwości na kunszt poetycki, a od Hanny Januszewskiej najczystszej i najdoskonalszego rodzaju poezji w rymie, rytmie, wizji, fatazji; wynika to z jej talentu, którego koniecznością jest zachwycać i czarować, a nie uczyć lub przekonywać.

Pewne rodzaje książek działają na pewne dziedziny psychiki dziecięcej i są pożywką dla różnych indywidualnych odchyleń w potrzebach, zainteresowaniach i dezyderatach czytelniczych. Książkę dziecko musi rozumieć, musi ją przeżywać, gdyż to jest jedyna droga do tego, aby oddziaływanie książki było rzeczywiste, trwałe i twórcze — i wreszcie może się także za pośrednictwem książki do pewnych rzeczy przyzwyczajać, przywykać do nich — nie zdając sobie nawet sprawy z tego i nie rozumiejąc tego w pełni.

Powszechnie przyjęte jest wyodrębnianie literatury kształcącej i literatury czysto rozrywkowej, przy czym literatura rozrywkowa oceniana jest często, jako literatura niższej kategorii, nawet z pewnym pobłażaniem i lekceważeniem. Stanowisko takie wydaje się być z gruntu błędne i prowadzi, moim zdaniem, do fałszywej i niesprawiedliwej postawy krytycznej z jednej strony, a opiera się na fałszywych założeniach psychologicznych z drugiej. Mianowicie element rozrywki w przeżyciach, wywołanych książką, jest znacznie słabszy i mniej ważki, niż się to potocznie wydaje i niż to się sądzi o innych elementach recepcji. Nie odgrywa on decydującej roli, szczególnie u dzieci, u których przejmowanie treści książki jest jednak zawsze związane z pewnym wysiłkiem i pokonywaniem szeregu trudności myślowych, uczuciowych, technicznych. Inna sprawa, że wysiłek ten jest na ogół bardzo przyjemny i nawet może nie nazbyt męczący — ale stanowi o tym, że czytanie nie jest czystym typem rozrywki. Zresztą dziecko fikcję literacką (realistyczną czy fantastyczną) uważa za najzupełniej rzeczywistą i istniejącą naprawdę i w znacznie większym stopniu fikcja ta pochłania go, niż czytelnika dorosłego — dziecko bierze w tej rzeczywistości literackiej bezpośredni i realny udział.

Oczywiście pewna doza rozrywki tkwi i w przeżyciach dzieci wobec książki; są książki, które są czysto „rozrywkowe" i są one potrzebne, jak wszystkie inne rodzaje literatury dla dzieci. Rozrywką jest książka bardzo łatwa i bardzo przeciętna pod każdym względem, która nie ma w sobie nic uderzającego i której czytanie jest czynnością raczej automatyczną. Ten typ piśmiennictwa dla dzieci leży najczęściej poza granicami literatury pełnowartościowej i siłą rzeczy nie mógłby wejść w zakres niniejszych rozważań. Do nielicznych w tym zakresie wyjątków należą np. świetne wiersze dla najmłodszych Zarembiny — klasyczne w swej prostocie, naiwności i wdzięku oraz niektóre wiersze Porazińskiej.

Analiza niektórych typowych książek dla dzieci pozwoli na uwydatnienie, jakie podniety są dla każdego typu piśmiennictwa dziecięcego najbardziej charakterystyczne i jaka jest ich wartość wychowawcza — przyjąwszy że dopiero zespół tych podniet, dostarczony przez różne typy książek — stanowi o istotnie trwałym i twórczym wychowawczo wpływie piśmiennictwa dla dzieci.

2. Uczyć — bawiąc, to metoda o bezspornej wartości, szczególnie skutecznie stosowana wobec dzieci i młodzieży. Na tej zasadzie opiera się fakt, że powieść posiada charakter kształcący, zarówno pod względem życiowym, jak i w zakresie wiedzy o świecie, stosunkach społecznych, historycznych, geograficznych itd. W stosunku do dzieci sprawa ta jest dość prosta i oczywista, niemniej musi być realizowana z wielkim taktem i smakiem. Treść kształcąca i informacyjna nie może wyrastać ponad formę i elementy literackie książki, musi być tak wkomponowana w całość utworu, aby stanowiła jej nierozdzielną, harmonijnie wbudowaną i konstrukcyjnie zrozumiałą część. Ponadto treść kształcąca nie może w najmniejszym stopniu nudzić, ale powinna stanowić pointę książki, być dla dziecka ponętną i posiadać zrozumiałą dla jego umysłowości wymowę. Dziecko ma się dowiadywać z książki o historii przedmiotów, które je otaczają, o pochodzeniu rzeczy, których używa, wreszcie o zwyczajach i prawach, kierujących życiem ludzi i zwierząt, z którymi się styka.

Świat przedmiotów codziennego użytku, historia ich doskonalenia, ich przydatność jest tematem książki Stefana Themersona: „Pan Tom buduje dom" *). Treść książki związana jest prostą fabułą, która, aczkolwiek zupełnie prymitywna, ma w sobie elementy humoru, poetyczności i prostoty. Przez związanie treści fabułą — wszystkie informacje są naturalne i nie zaskakują czytelnika, a niesłychanie zwięzła i uproszczona forma przynosi pewne konieczne minimum informacji, które zaspakajając pierwszą ciekawość — zaostrzają ją w gruncie rzeczy i stanowią podnietę do szukania dokładniejszych wiadomości, do stawiania dalszych pytań. Morał książki — to przydatność życiowa i celowość urządzeń, które właściwie nie bywają przedmiotem obserwacji, zaciekawienia i medytacji. Dziecko nie tylko dowiaduje się szeregu rzeczy, ale musi myśleć, wiązać przyczyny i skutki, przyglądać się innymi oczyma otaczającym go przedmiotom.

Niezależnie od zdobywania nowych wiadomości — dziecko bawi się książką Themersona, gdyż jest w niej ruch, humor, jest bieg zdarzeń codziennych, przedmioty mówią i myślą, są żywe i plastyczne, a postać bohatera posiada swoisty komizm.

Pomysły, forma i sposób wyjaśniania rzeczy są u Themersona doprowadzone do niemal matematycznej prostoty. Rym prosty, rytm łatwo wpadający w ucho i wreszcie rysunki — równie proste, a co najważniejsze — stanowiące nierozerwalną część tekstu, bez nich bowiem nie byłby on w pełni zabawny, a one bez niego nie byłyby całkowicie zrozumiałe. Czarna, spokojna kreska, czarna, gładka płaszczyzna pozwalają skoncentrować uwagę na znaczeniu i roli ilustracji w treści.

W zupełnie inny sposób podchodzi do zagadnienia popularyzacji Lucyna Krzemieniecka w książce „Pan Klet i jego klejnoty"**). Całość jest opowieścią rymowaną o treści napoły fantastycznej, napoły realistycznej, gdzie zagadnieniem centralnym jest wartość poezji w życiu i miłość do ludzi, jako więzi zasadniczej i podstawy stosunku człowieka do człowieka. W tę całość wkomponowuje Krzemieniecka ustępy zawierające szereg wiadomości o zamorskich przyprawach lub o różnych kwiatach. Rzecz kompozycyjnie tłumaczy się doskonale, nie jest to wstawka, ale przeciwnie — zręcznie i zabawnie pomyślane urozmaicenie akcji. O ile Themerson mówi o wszystkim prosto, jasno i logicznie, a jednocześnie bardzo powściągliwie, o tyle Krzemieniecka opowiada w sposób pełen fantazji i plastyki. O ile Themerson zadziwia tym, o czym pisze, pogłębia funkcję myślenia i pobudza do dalszych pytań, o tyle Krzemieniecka działa na fantazję i na sferę emocjonalną dziecka, przede wszystkim wzrusza je i w ten sposób uczy.

3. Kształcenie intelektualne idzie dwiema drogami: przez powiększanie zasobu wiadomości i przez wyrabianie sprawności intelektualnej: logicznego i jasnego myślenia, trafnego wnioskowania, bystrej i ścisłej obserwacji, szybkiej reakcji myślowej na podniety z zewnątrz, gotowości pamięci. W tym zakresie posiada znaczenie nie tylko treść utworu, a więc stopień jego przydatności popularyzatorskiej, ale także strona formalna — słowa i ich układ, jako wyraz toku myśli i nurtu uczuć autora. Trafność wypowiedzi słownej, dobór i kompozycja wyrazów jest decydująca dla stopnia spożytkowania treści i dla upodobania estetycznego czytelnika. W tym pierwszym wypadku okazuje się mistrzem Themerson, jako znakomity popularyzator, który nie tylko umie znaleźć odpowiedni i interesujący przedmiot popularyzacji, ale posiada umiejętność wyjaśniania prosto i zwięźle rzeczy nieznanych i trudnych.

Inny jest charakter twórczości Brzechwy *). Brzechwa nie jest popularyzatorem i tematy jego wierszy nie są zaczerpnięte (z wyjątkiem książki: „Opowiadał dzięcioł sowie") ze świata zdarzeń i przedmiotów, o których dziecku zwykle się przede wszystkim opowiada. Brzechwa sięga po tematy do rzeczy zabawnych, komicznych, dowcipnych, wesołych, a mimo to ukrytych dla przeciętnych oczu. Pociągają go cechy przedmiotów niedostrzegalne i niewidzialne, a nadewszystko gry słowne, sam ich powab, różnorodność ich znaczeń, odcienie nastrojów, które wywołują. Specyficzność wierszy Brzechwy, jemu tylko właściwa tajemnica tego rodzaju wysławiania się — jest przynętą dla czytelnika i nowością, która wabi. Między nim a dziećmi nawiązuje się szczególny kontakt, podobny do tego, który wypływa z wymyślonego przez dzieci języka w zabawach.

Urok i wdzięk nonsensu działa na wyobraźnię dziecka, będąc podnietą nie tylko dla jego sfery uczuciowej, ale i intelektualnej. Dziecko się śmieje, dziecku to się podoba, ale dziecko stawia sobie także pytanie: cóż to znaczy? cóż to za głupstwo? i bawi się tym i rozumie to, może nie całkiem świadomie, ale w każdym razie zdaje sobie sprawę z pustoty tego powiedzenia.

Gra słów czasem trochę trudna, w wielu wypadkach jest oczywista dla dziecka i pogłębia jego wyczucie językowe. Np. w wierszu o mleku, które wykipiało: „Na te słowa mleko zbladło, przestraszyło się i zsiadło. Chodźcie do nas. Zjedzcie z nami zsiadłe mleko z kartoflami". Czy też gdzieindziej: „Kupiła raz maczku paczkę, by pisać list drobnym maczkiem".

Wielokrotnie poruszana sprawa „niepedagogiczności" wierszy Brzechwy wydaje mi się być bezprzedmiotowa. Jest jasne, dlaczego wiersze te podobają się dzieciom i okazuje się, że jest dobrze, iż tak jest, skoro mogą one stanowić podniety dla intelektu, dla poczucia humoru i dla upodobania w formie. Podnieta ta nie zawsze jest w pełni rozumiana, ale bawi, śmieszy, podoba się, każe myśleć. Przyzwyczajanie w tym kierunku w konsekwencji ułatwi i pogłębi w przyszłości recepcję takich utworów, jak fraszki Kochanowskiego czy Morsztyna, bajki Krasickiego.

Brzechwa stwarza nowy typ bajki, nie z pointe'ą moralną, ale z pointe'ą intelektualną, która posiada wartość wychowawczą najzupełniej oczywistą.

Podobnie jak Brzechwa — przede wszystkim kunsztem poetyckim oddziaływa na czytelnika Hanna Januszewska**).

Januszewska przemawia swoją wyobraźnią poetycką, wyrafinowaną i pełną nieoczekiwanych skojarzeń i pomysłów, o wyraźnej malarskiej plastyce i nastroju baśniowym, a jednocześnie porywa muzycznością wiersza.

Wiersz ten stapia się bowiem z dźwiękiem i obrazem odtwarzanym, jest ściśle dostosowany do niego i te dwa elementy: wizualny i słuchowy przemawiają jednocześnie.

Wyobraźnia poetycka Januszewskiej znajduje podatne tworzywo w różnych kręgach świata i życia. Przyroda, którą bardziej czuje, jako ruch, dźwięk i światło, niż jako kształt trójwymiarowy, element ludowy jako estetycznie najbardziej pierwotny i najlepiej nadający się do transpozycji poetyckiej, wreszcie wątek historyczny, nie jako temat do popularyzacji, ale jako motyw, który kompozycyjnie jest potrzebny.

Januszewska właściwie niczego, poza sprzyjaniem wszystkiemu, nie uczy i do niczego nie wzywa, ale przed wszystkim odsłania piękno i pozwala z nim obcować.

Słowo poetyckie w swojej najdoskonalszej formie odnajduje dziecko w wierszach Tuwima *). Poezja dla dzieci Tuwima działa wielostronnie. Są wiersze, które są samą ucieleśnioną poetycznością („Spóźniony słowik", „Rzeczka"), są inne, gdzie igraszka słowna jest głównym wątkiem („Pan Tralaliński"), albo humor i sytuacja komiczna („Ptasie plotki", „Okulary"), wreszcie pewien sens moralny („Warzywa").

Igraszki słowne, inne nieco niż u Brzechwy, w ten sam zupełnie sposób trafiają do dzieci. W „Panu Tralalińskim" talent słowotwórczy Tuwima idzie po linii upodobań dziecięcych, które każą im stwarzać nowe, własne wyrazy. Świetność tego wiersza tkwi między innymi w tym, że tematem jego są motywy muzyczne, muzyczność wiersza i muzyczne tworzenie nowych, dźwięcznych wyrazów wpada i narzuca się słuchowi czytelnika.

4. Kształcenie intelektu oddziaływanie na sferę uczuciową, przez pobudzanie jej do reakcji o charakterze estetycznym przede wszystkim nie **wyczerpuje tego wszystkiego**, co literatura dla dzieci ma do zdziałania.

Kształcenie charakteru, budzenie życzliwości dla świata i ludzi, dobroć, powiązanie wszystkiego co żyje w nierozerwalny splot zjawisk i istnień, wzajemnie sobie potrzebnych, odnajdywanie własnego miejsca w tym splocie, budzenie zainteresowania tym, co się dzieje i otwieranie oczu i uszu nie tylko na rzeczy, które się narzucają, ale i na te, które są skromne i pozornie nieważne — oto przykłady tego, co dziecko musi poznać. Przekazanie tej wiedzy przez literaturę jest trudnym zadaniem.

To zadanie spełnia w sobie tylko właściwy sposób Janina Porazińska. **) „O dwunastu z zapiecka" ma walory literackie niepowszednie i promieniuje humorem. Wesołość u Porazińskiej ma w sobie element biologicznej niemal witalności, ale witalność ta nie jest bezduszna i bezmyślna. Społeczna solidarność ludzi, harmonia przyrody i przedmiotów, które ukazuje Porazińska, uczy dzieci rozumienia wielu zjawisk, obserwacji ich z nowego punktu widzenia i innego wartościowania.

Ale Porazińska jest nie tylko wesoła, ma humor, bardzo konkretny i prosto do dziecka przemawiający. Złośliwość martwych przedmiotów lub komizm sytuacyjny bawią dziecko doskonale, tak jak interesuje je bardzo silnie to wszystko, co autorka mówi im o ich życiu, o ich radościach i zmartwieniach, o drobnych, lecz dla nich doniosłych zdarzeniach. Mówi o tym z prostotą i naturalnością, traktuje dziecko, jak małego równego sobie człowieka. W ten sposób kształci jego wartości moralne kształci jego zdolność rozumienia i przystosowywania się do życia.

Sharmonizowanie wartości formalnych z wartościami treściowymi występuje u Porazińskiej w kształcie doskonałym i pozwala jej na spełnienie wysoko wartościowych założeń wychowawczych.

Zagadnienie solidarności społecznej, współpracy w tworzeniu wspólnych wartości — u Porazińskiej ma charakter zagadnień ogólnych i podstawowych, natomiast w postaci zupełnie konkretnej zjawia się u Brzechwy***) w książce „Opowiedział dzięcioł sowie", gdzie przedmiotem literackiej popularyzacji jest sprawa spółdzielczości. Jest to temat trudny i nie należy do tematów, które są dla dzieci bezpośrednio interesujące. Brzechwa komponuje zwartą całość o jednolitej akcji, dużej dozie humoru, gdzie zwierzęta, bohaterowie poematu, pędzą całkowicie ludzki żywot. Jest to transpozycja zawsze dla dzieci bardzo wymowna i ciekawa, a użyta w tym miejscu niewątpliwie trafnie — zbliża ku nim abstrakcyjne dla nich zagadnienie spółdzielczości. Brzechwa operuje konkretami przy tłumaczeniu istoty tranzakcji handlowych, przez co osiąga ogromną prostotę i przejrzystość, mimo, że metoda jego jest odmienna od metody Themersona. Nie tylko zresztą sam sposób tłumaczenia, ale i forma literacka pozwala na przyswojenie całkowite treści książki przez dziecko. Brzechwa i tu bawi grą słów, rytm zdarzeń pochłania uwagę dziecka i ciekawi je, a wyliczanie i powtarzanie się pewnych refrenów idzie po linii upodobań i nawyków dziecięcych. Ponadto w punkcie kulminacyjnym książki (wyjaśnianie istoty spółdzielczości) używa właściwych i potocznie przyjętych słów tak wkomponowanych w jej całość — że dziecku musi się wydać, że są na właściwym miejscu i należą do toku akcji, a nie użyto ich w celu propagandy. „Wszyscy razem, nie oddzielnie, ale dzielnie tę spółdzielnię przed nadejściem jeszcze zimy wspólną pracą utworzymy". Swoboda w operowaniu słowem i wyczucie jego wagi pozwala na udostępnienie przez poetę dziecku zagadnień trudnych i oderwanych.

Elementy kształcące o wartości etycznej i społecznej posiadają również książki Janiny Broniewskiej: „O gałgankowej Balbisi" i „Historia toczonego dziadka i malowanej babki". U Broniewskiej występują one w wielkim bogactwie w obydwóch książkach i przeważają w nich zagadnienia społeczne nad indywidualnymi, nie brak też wiadomości przyrodniczych i z zakresu wiedzy o przedmiotach. W prosty i ciekawy dla dzieci wątek akcji (przygody zabawek) — wplątane są ich spostrzeżenia, refleksje i uwagi o zdarze-

---

*) Themerson Stefan. Pan Tom buduje dom. Il. S. Themerson „Czytelnik" 1945. S. 128.

**) Krzemieniecka Lucyna. Pan Klet i jego klejnoty. Il. J. Karolak. „Czytelnik" 1947. S. 47.

*) Brzechwa Jan. Kaczka dziwaczka. Il. Fr. Themerson. „Czytelnik" 1945. s. 46. — Brzechwa Jan. Tańcowała igła z nitką Il. Fr. Themerson. „Czytelnik" 1945 S. 46 — Brzechwa Jan. Skarżypyta. Il. Olga Siemaszkowa. „Czytelnik" 1947. s. 42.

**) Januszewska Hanna: Jawor, Jawor II. J. M. Szancer i A. Biernacka. „Czytelnik" 1947. s. 84.

*) Tuwim Julian. Zosia Samosia i inne wierszyki. Il. Ha-ga. Czytelnik 1947.

**) Porazińska Janina. O dwunastu z zapiecka. Il. Olga Siemiaszkowa. Czytelnik 1946 s. 79.

***) Brzechwa Jan. Opowiedzia. dzięcioł sowie. Il. Ha-ga i Eryk Lipiński. Czytelnik 1946. s. 36.

niach, zjawiskach i stosunkach na świecie. Na tej drodze odsłania autorka przed czytelnikami sprawy krzywdy i nierówności społecznej, znaczenia pracy, bezwartościowości zewnętrznych pozorów, humanitaryzmu (okrucieństwo wojny), dobrodziejstw cywilizacji. Broniewska w sposób niezwykle trafny popularyzuje te zagadnienia — zdając sobie sprawę z poziomu odbiorców swoich książek.

Obydwie książki Broniewskiej — to obraz drobnego wycinka życia dorosłych i dzieci, gdzie element dobroci, wesołości i pracy wytwarza atmosferę sprzyjającą przychylnemu stosunkowi do opisywanych zdarzeń i spraw, a specyficzny zapach staroświecczyzny (rzecz dzieje się na schyłku XIX w.), stanowi jeden z motywów kompozycyjnych, który nadaje wiele uroku książce i podnosi jej charakter fantastyczny, bajkowy.

Analogiczne w pomyśle do Januszewskiej i Broniewskiej, choć dostosowane dla znacznie młodszych dzieci, są „Migdałowe historie" Wandy Grodzieńskiej **). Grodzieńska wprowadza stwory fantazji poetyckiej — kasztanowego pokraczka, ludki — domowniki (krasnoludki), lub symboliczną postać listopada, ożywia bałwany śniegowe, zwierzęta i zabawki — przez co stwarza świat bajeczny z najprostszych i najbardziej zrozumiałych elementów dla dziecka w wieku przedszkolnym, ukazuje mu zdarzenia oczyma lalki, wreszcie opisuje drobne zdarzenia w sadzie, na polu, w domu, w lesie, na ulicy — wszystko w sposób zupełnie nieskomplikowany, spokojny i nie wymagający żadnego wysiłku myślowego przy percypowaniu. Dziecko może się tym bawić bez trudu, interesować bez niepokoju, ma rozrywkę i styka się z obrazem poetyckim bardzo plastycznym i zbudowanym z elementów, dla jego emocjonalnych możliwości dostępnych. Grodzieńska obrazy te komponuje przede wszystkim ze zdarzeń, jest w tym ruch, akcja, bardzo prosta, ale dla dziecka interesująca, słowo trafne i plastyczne.

5. Element fantastyczności w literaturze dla dzieci jest niezmiernie doniosły i oddziaływanie jego stanowi jeden z nielicznych, szerzej zbadanych procesów w psychice dziecka w zakresie badań nad jego stosunkiem do książki. Dla dziecka w okresie przedszkolnym świat realny i świat fantazji stanowią *właściwie jedną całość, w wieku szkolnym występuje między tymi* dwoma światami wyraźna granica, ale świat fantastyczny nie przestaje być nęcący i bliski. We wszystkich dotąd zanalizowanych na tym miejscu książkach motyw fantastyczności występuje — silniej lub słabiej — w postaciach różnorodnych. U Broniewskiej polega na nadaniu cech życia ludzkiego zabawkom (Gałgankowa Balbisia, toczony dziadek i malowana babka), co idzie po linii zabaw dziecięcych, które są przecież zupełnie na serio i po ludzku organizowane. W ten sposób rzeczy ludzkie udostępniają się umysłowi dziecka lekko i łatwo. Januszewska, Brzechwa, Tuwim, Porazińska ożywiają martwe przedmioty i wzbogacają w ten sposób środki wyrazu poetyckiego, rozszerzają świat rzeczy, wszyscy prawie nadają cechy ludzkie zwierzętom, czyniąc je w ten sposób jeszcze bliższymi i bardziej zrozumiałymi dla dzieci. Tak tworzy się jedna wielka rodzina: dorosłych, dzieci, przyrody, zabawek i martwych przedmiotów, której tajemnice i wspólne bytowanie dziecko ma poznać i którą powołuje do fikcyjnego życia dla dziecka — słowo poetyckie.

Są to podniety dla wyobraźni młodego czytelnika bardzo silne i dodatnie, wzbogacają ją *i ożywiają*, zwiększają jego moc twórczą, *rozszerzają* możliwości doznań przed dzieckiem i nadają wymowę przejawom życia, które dotąd było dla niego martwe i milczące.

Inny typ fantazji wchodzi w grę w „Baśni o korsarzu Palemonie" Brzechwy ***). Akcja i tło zbudowane są na pomyśle całkowicie fantastycznym — rzecz dzieje się w bajecznej krainie, wśród bajecznych ludzi i rządzone jest bajecznymi prawami. Ale humor Brzechwy każe mu z uśmiechem traktować rzeczy ważne i poważne (choroba króla Fafuły i jego śmierć, żal po nim). Brzechwa nie mówi jaki morał przemawia z bajki, ale upewnia czytelnika, że morał w bajce tkwi i tym samym pobudza go do myślenia. Z rytmicznie zbudowanej akcji i konsekwentnie rozwijanych zdarzeń — czytelnik musi i może sam dojść do wniosku ostatecznego i kształcącego. Mianowicie, że odwaga, lekceważenie własnego tchórzostwa są prawdziwymi cnotami, które upoważniają do odpowiedzialnej funkcji społecznej, a uroda nie jest wartością, od której zależy miłość i szczęście. Pozorny truizm ostatniego morału jest dla dziecka zwykle nowym odkryciem i przezwyciężeniem banału i szablonu, z którym często się spotyka.

6. Zagadnienie ilustracji w książce dziecinnej jest zagadnieniem podstawowym i ocena wartości ilustracji musi być przeprowadzona przez znawcę z tej dziedziny. Charakterystyka oddziaływania ilustracji na dzieci rozszerzyłaby nadmiernie niniejsze rozważania.

Aniela Mikucka

---

*) Broniewska Janina. O gałgankowej Balbisi. Il. M. Sopoćko. Czytelnik 1947, s. 72.

Broniewska Janina. Historia toczonego dziadka i malowanej babki. Il. Cz. Wielhorski. Czytelnik 1947, s. 104.

**) Grodzieńska Wanda. Migdałowe historie. Il. M. Piotrowski. Czytelnik 1946, s. 42.

***) Brzechwa Jan. Baśń o Korsarzu Palemonie. Il. J. M. Szancer. Czytelnik 1945 s. 40.

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(list trzydziesty drugi)

W KRAKOWIE większych zakładów przemysłowych jest niedużo. Sklepy raczej ubogie. Za to rzemieślnicy uczciwi — z tradycją. Ale nawet i kupców cechuje nadzwyczajna powściągliwość. Nie przeceniają wkładu własnej pracy. Kraków jest miastem tanim. Naogół. Bo i tu są skoki. Najtańsza jest ulica Grodzka. Najdroższe: Sławkowska i Floriańska. Za bolce do maszynki elektrycznej chcieli ode mnie na Floriańskiej 300 zł, a na Grodzkiej wzięli 30 zł. Czyli, że Floriańska ceni się dziesięć razy lepiej. Czy dlatego, że kończy się wspaniałą bramą? Przecież na końcu Grodzkiej znajduje się Wawel. Nie. Zdzierstwo nie jest tu na pewno regułą. Na Sławkowskiej w bardzo przyzwoitym sklepie za sznurowadła zapłaciłem 10 zł. Jeśli za drogie — powiedziała sprzedająca — mamy i tańsze, po 8 zł. Żaden zawód nie łączy się tak z psychologią, jak handel. I to nie tylko w akcji. Ale także w podstawie. Charakteryzuje człowieka, nie gorzej od hazardu karcianego.

*

Ptasznik na ulicy Marka, ponieważ nie ma wielkiego ruchu — przydał sobie do handlu specjalne rzemiosło. Naprawia lalki. Para niebieskich papużek kosztuje 800 zł. Naprawa trzech gruntownie zdemolowanych lalek 100 zł. Właściwie któżby zabronił ptasznikowi za papugi żądać 1000 zł., a za zestawienie lalczanych członków 200 zł. Nikt. Powciągliwość. Lubię chodzić do tego sklepu obserwować pracę staruszka. Misterną. Przyglądać się kolorowym ptakom. Są zresztą i rybki. W akwarium oświetlonym widać ich wnętrze, jak w promieniach Rentgena.

*

Pisałem już o nienadzwyczajnych możliwościach zarobkowania krakowskich pisarzy. Ale radzą sobie, jak mogą. Oto dwóch zasłużonych poetów oddaje się żmudnej pracy konserwatorskiej. Konserwują ołtarz Wita Stwosza. Jest to rzemiosło odpowiedzialne, niemal liturgiczne. A może nawet i więcej. Znam bowiem humanistów, którzy za życie jednej figury Stwosza oddaliby wiele żyć ludzkich. Tuwim pisał gdzieś, że nie oddałby ani jednego. Ja też nie. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że o renowacji ołtarza opinia publiczna nic nie wie. Chociaż chodzą plotki niepokojące — jakoby metoda konserwacji, którą się stosuje w Krakowie, była całkowicie przestarzała. A więc z punktu widzenia perspektywy — lekkomyślna. Nie chodzi tu — że wrócę jeszcze do chodzenia — coprawda o życie ludzkie, ale i wyjątkowe dzieło sztuki też coś warte. Da się chyba konkretnie określić — Amerykanie daliby chyba kilka milionów dolarów. Mimo, że wszyscy wiedzą: w Krakowie tanio.

*

Trochę tę moją korespondencję ludzie czytają. Nie tylko w Krakowie. Dostałem list od ob. P.W. z Łodzi, żebym napisał, co słychać z Sukiennicami. Chętnie. Otóż Sukiennice stoją. Całe. Nazewnątrz są prawie luksusowe sklepy — wewnątrz stragany, wokół prawie wolny handel. Obok Sukiennic na Rynku pod kolorowymi parasolami sprzedaje się owoce. Gdy jest ciepło — kwiaty. Sukiennice są w dalszym ciągu centralnym punktem miasta, jego ozdobą i jego najżywszym punktem handlowym. Stragany wewnątrz zawierają wszystko od małych zabawek, foremek dla dzieci aż do olbrzymich walizek i koszów. Można tu także dostać ciepłą i gorącą strawę. Olbrzymia bułka z szynką w dni bezmięsne kosztuje 40 zł. Często można usłyszeć dyskusję ,czy sprzedaż taka ma cechy prz ,tępstwa. Zdania są podzielone. Są i obrońcy. Kanapki sprzedają osoby prywatne z zapasów prywatnych. Gdyby miały patent — no to co innego... Jest to więc inicjatywa podwójnie prywatna. Takich wymykających się prawu handlujących jest tu zresztą więcej. Krakowianie utrzymują, że to element napływowy. Milicja, że raczej rozpływowy — trudny do uchwycenia. Jak żywe srebro, chociaż handlują raczej złotem.

*

Rabaty na plantach otrzymały piękne krawężniki. Niełatwo będzie deptać trawę. Bo i po co deptać? Wiosna za pasem. Kraków na wiosnę jest śliczny. Jego przemysłowa ospałość nabiera przecież jakiegoś sensu. Powciągliwość przeradza się w kontemplowanie natury. Sprzedający zamykają sklepy i zamiast obiadu jedzą klimat.

Ot, tak na koniec cyfrowego listu — trochę poezji!

PRZEGLĄD PRASY

„Miesięcznik Ludowy" poświęcony jest sprawie krzewienia kultury na wsi. Sądzę więc, że jest to pismo pomyślane jako przewodnik dla działaczy społecznych pracujących w terenie. Takie pisma przy istnieniu jednoczesnym tygodników w rodzaju „Wsi" byłyby pożyteczne, gdyby wypełniały swoje zadania jak należy. Ten truizm jest jednak głęboko uzasadniony w przypadku omawianego przeze mnie miesięcznika.

Przypatrzmy się treści potrójnego numeru (8—9—10) za październik — grudzień ubiegłego roku. Numer otwiera przemówienie prezydenta Rzeczpospolitej, wygłoszone we Wrocławiu 17 listopada. Ponieważ przemówieniu temu poświęciła w odpowiednim czasie „Kuźnica" artykuł Stefana Żółkiewskiego, więc nie będę go streszczał ani komentował. Myślę natomiast, że jeśli miesięcznik poświęcony sprawie krzewienia kultury na wsi przemówienie to zamieszcza, to powinien jednocześnie zamieścić komentarz. W ten sposób przemówienie to, z natury rzeczy ramowe i ogólne, mogłoby zostać skuteczniej przyswojone na danym odcinku pracy, jakim jest sprawa upowszechnienia kultury na wsi. Pozostałe artykuły numeru, m.in. ,Rysy portretu Ireny Kosmowskiej" Leona Pokory mogą zainteresować nie tylko wieś. Jeden jest tylko szkopuł, który nie pozwala mi uznać, że „Miesięcznik Ludowy" istotnie krzewi kulturę na wsi. Myślę tu o dodatku literackim, o tekstach zamieszczonych w tym dodatku, o tekstach poetyckich zwłaszcza. Jeśli „Miesięcznik Ludowy" ma być wzorem dla działaczy oświatowych na wsi, to powinien moim zdaniem tych działaczy przede wszystkim przyzwyczajać do dobrej literatury, do dobrej poezji. „Najzupełniej nieuzasadnionym i fałszywym — czytamy w przemówieniu wrocławskim, zamieszczonym przez „Miesięcznik Ludowy" — jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej..." To zdanie powinni mieć na uwadze wszyscy, którzy zajmują się tak bardzo doniosłym zagadnieniem upowszechnienia kultury. Wieś zna Sienkiewicza i Reymonta, zna zapewne Gałaja i Piętaka. Nie wierzę, że trzeba upowszechniać w dziedzinie literatury rzeczy prymitywne lub naiwne. Wątpię, czy słuszne jest zamieszczanie w „Miesięczniku Ludowym" słabych wierszy debiutujących poetów, choćby to były nawet pierwociny talentów chłopskich. Pamiętajmy, że nie skąd inąd a właśnie ze wsi, i to w dużo trudniejszych warunkach niż dzisiejsze, wyszli pisarze tacy jak Piętak, Pogan, czy Gałaj. Jeśli młodzi poeci drukowani w „Miesięczniku Ludowym" mają się rozwinąć, należy twórczość ich kierować raczej do pism literackich, gdzie zostanie należycie i sumiennie oceniona. Rola „Miesięcznika Ludowego" jako pisma krzewiącego kulturę na wsi powinna polegać na dawaniu czytelnikom materiału literackiego pod każdym względem doskonałego. Takim materiałem może być tylko literatura klasyczna. Podobnie jak pożyteczny dział „Ze starego spichlerza", gdzie przedrukowuje się materiały z przeszłości dotyczące obyczaju i kultury życia chłopskiego w dawnych latach, podobnie jak w dziale satyry, gdzie przedrukowuje się bajki biskupa Krasickiego, tak samo i w dziale literackim należy, jak mi się zdaje, przedrukowywać utwory o ustalonej wartości literackiej i wychowawczej, zamiast bawić się w tworzenie wokół miesięcznika grupy poetyckiej. Redakcja „Miesięcznika" zdaje się potwierdzać ten mój projekt z góry, drukując artykuły takie jak np. Stanisława Czernika o Kochanowskim, z którego to artykułu działacz wiejski będzie mógł się niejednego dowiedzieć o roli i znaczeniu wielkiego poety polskiego dla całej, również i dzisiejszej, kultury narodowej. Artykuł ilustrowany licznymi cytatami fraszek wydaje mi się właśnie przykładowy dla pisma typu „Miesięcznika Ludowego". Podobnie artykuł Ziarnika o dożynkach. Zapewne — lektura jednej i drugiej pracy wymaga jakiego takiego przygotowania w zakresie wykształcenia ogólnego, ale nie powinniśmy się łudzić, że możliwe jest jakiekolwiek rozwiązanie sprawy takie, w którym upowszechnienie kultury mogło by się odbyć bez upowszechnienia oświaty. Ponieważ literatura klasyczna pod względem formalnym jest przystępna dla szerokiego ogółu, zaś jej treści zostały przyswojone w obyczaju i tradycji narodowej, dlatego też, jak sądzę, od zapoznawania wsi z tą właśnie literaturą należy rozpocząć sprawę upowszechniania. Oczywiście — wysuwa się teraz na czoło zagadnienie organizacyjnego rozwiązania tej sprawy czyli konieczność realizacji ustawy bibliotecznej. Artykuł na ten temat zamieszcza Władysław Błachut. Jak długo ustawa nie jest zrealizowana, a miejmy nadzieję, że okres ten nie będzie zbyt długi, dzieło propagandy dobrej literatury powinny wziąć na siebie pisma, mające kontakt z wsią. „Rolnik Polski" wydawany przez „Czytelnika" już to robi. Biblioteka romansów i powieści, proszę się nie lękać słowa „romansów" (uwaga pod adresem purytanów!), być może również dotrze na wieś. Ważne jest tylko to, czy jej dobór będzie odpowiedni, czy będzie, podobnie jak znakomite francuskie wydawnictwo gazetowe „Les belles lectures", dawał naprawdę piękną lekturę, czy też skapituluje i między starego Dumasa, Dickensa czy De Foe'go wsadzi na przynętę Marczyńskiego lub nawet Mostowicza. O tych rzeczach powinien jak najwięcej radzić „Miesięcznik Ludowy". Tylko wtedy doświadczenia działaczy terenowych nadadzą teoriom upowszechniania kultury ów zdrowy sens, konieczny, by akcję przeprowadzić zgodnie z programem przekazywania wartości kulturalnych nowym, młodym warstwom, z programem, który nie może mieć nic wspólnego ani z filantropią, ani ze snobizmem.

ph.

Afrykańska gorączka

felieton gospodarczy

Pisałem już swego czasu na tym miejscu o angielskich planach intensywnego wzmożenia eksploatacji bogactw afrykańskich. T. zw. plan orzecha ziemnego wymaga olbrzymich nakładów kapitałowych. Prasa angielska dawniej rzadko i nieśmiało, teraz coraz częściej zagadnienie to porusza.

Pomówny najpierw o stronie technicznej. Prace niwelacyjne w buszu afrykańskim (Tanganajka) rozpoczęto w lutym 1947. Kredyty rządowe zostałe otwarte. Plan przewidywał obsadzenie do listopada 1947 roku 150.000 akrów. Natomiast zaorano i obsadzono istotnie tylko 10.000 akrów. Jak na wzorową i renomowaną sprawność organizacyjną Anglików — dysproporcja rewelacyjna.

Przyczyny niepowodzenia dadzą się streścić w paru punktach: 1) brak ciężkich traktorów nowej produkcji, których nie mogła dostarczyć ani Anglia ani Ameryka, 2) sprowadzono z Filipin, Ceylonu i Środkowego Wschodu traktory z demobilu, które wymagały remontu, 3) remont, wobec braku części zamiennych, trwał długo i rzadko bywał skuteczny, 4) na planowanych na luty 47 r. 200 traktorów otrzymano 97 sztuk, 5) wiele traktorów tubylcy zniszczyli ucząc się obchodzenia się z nimi, 6) sporo traktorów „poległo" przy budowie dróg dojazdowych do terenów uprawnych, 7) wydajność 420 traktorów, które miano do dyspozycji w listopadzie 47 r. była mniejsza niż 200 nowych, 8) korzenie krzewu Kongwa zachowały się opornie w stosunku do wysiłków traktorów firmy Dawid Brown i innych firm; żeby je wydrzeć z ziemi trzeba było użyć nowej techniki — a więc dalsza zwłoka, 9) budowa pomieszczeń dla robotników zajęła również sporo czasu 10) brakowi ludzi do pracy usiłowano przeciwdziałać podwyższając zarobki tubylców — na co zaprotestowali biali, którzy stanowczo nie chcą być zrównani w zarobkach z murzynami — mimo, że ci wykonują tę samą pracę. Sporo było (i będzie!) z tego kłopotów.

Oto — z grubsza biorąc — przyczyny dla których Plan Orzecha Ziemnego wykonano tylko w 6,75%.

Po Stalingradzie ludzie mówili w Warszawie, że z Niemcami zaczyna być źle. Kiedy w końcowym etapie wojny Warszawę obiegła wieść, że Hitler zniósł buchalterię w niemieckich przedsiębiorstwach, a buchalterów powołał do wojska — nikt nie miał wątpliwości, że Niemcy wojnę już przegrały. Niemcy bez buchalterii — to znaczy, że Rzesza już nie istnieje!

Kiedy Anglicy wykonują swoje plany w 7%, dokładni i świetni w organizacji Anglicy — cóż o tym sądzić? Toż to Sodoma i Gomora, poprostu koniec świata. Złośliwi mówią, że to istotnie koniec, ale nie świata tylko czegoś innego.

Na konferencji 16-tu w Paryżu Anglia Francja, Belgia i Portugalia konsultowały się w sprawie uzgodnienia planów eksploatacyjnych w Afryce. Bevin w swoim przemówieniu na temat Bloku państw zachodnich oświadczył, że „jeśli zachodnia Europa ma osiągnąć równowagę swego bilansu płatniczego jest rzeczą istotną, aby możliwości produkcyjne Afryki były rozwijane a bogactwa dostępne dla wszystkich".

Narazie jednak stwierdza się, że eksploatacja bogactw naturalnych Afryki nie odbędzie się bez pomocy Stanów Zjednoczonych w dobrach inwestycyjnych (vide: traktory), a dróg i kolei też bez wsparcia jankesów nie da się rozbudować.

W listopadzie ub. roku Sir Stafford Cripps, witając konferencję gubernatorów Afryki powiedział między innymi: „Musimy zwiększyć tempo realizacji planu afrykańskiego i tak przyspieszyć kroku, żebyśmy w ciągu 2 do 5 lat mogli osiągnąć rzeczywiste rynkowe zwiększenie produkcji węgla, rud, drewna, żywności i wogóle wszystkiego co może nam oszczędzić dolarowych wydatków a nawet być sprzedane na dolarowych rynkach".

Tyle politycy.

Natomiast ekonomiści angielscy mówią inaczej. Twierdzą oni, i to głośno, krzycząc niemal, że „nie czas żałować róż, gdy płoną lasy". Suma 180 milionów funtów, którą rząd preliminuje na inwestycje zamorskie w roku budżetowym 48/49 jest ich zdaniem dużo zaduża, bo zanim inwestycje te zaczną przynosić zyski — Anglia może się znaleźć na dnie.

Należy się liczyć z tym, że kupiwszy Europę Zachodnią, Amerykanie zechcą kupić i Afrykę. Wtedy gorączka afrykańska (wśród uciekinierów z Wysp Brytyjskich) wzrośnie jeszcze bardziej a temperatura wyższych urzędników Foreign Office opadnie.

Warto mieć na podorędziu termometr, żeby co jakiś czas zmierzyć pacjentowi temperaturę.

Kajetan Kotowicz.

Noty

Germanica

Szwajcarska „Die Nation" jeden ze swych październikowych numerów poświęciła kwestii niemieckiej, omawiając ją z rzadkim jak na Szwajcarię obiektywizmem. Przypadek zrządził, że jeden z berneńskich czytelników „Nation" udał się do Düsseldorfu do swego adwokata, i zabrał omawiany numer pisma. Wspomniany adwokat, Herr Jagenburg, Rechtsanwalt am Oberlandsgericht in Düsseldorf, Inserstrasse 3, dostrzegł ową „Nation" i — jako, że zainteresowało go zagadnienie, przeczytał ją w kąciku. Kiedy ów Szwajcar wrócił do Berna zastał u siebie list z Düsseldorfu, w którym pan Jagenburg pisze:

„przypadkowo zapoznałem się z treścią numeru i przy lekturze tej gazety zmuszony byłem stwierdzić, że jest to najniższego gatunku podżegający świstek (Hetzblatt), jeden z tych, które jeszcze teraz, dwa i pół roku po wojnie, głoszą pełną nienawiści przeciw Niemcom greuel - propagandę. Co do redaktora tej gazety, która się mieni najlepszym pismem demokratycznym Szwajcarii, zdanie mam już całkowicie wyrobione. Ten redaktor może sobie pogratulować, że granica między Niemcami a Szwajcarią jest ciągle zamknięta, może on być jednak przygotowany — bo taki stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie — że przyjdzie dzień, w którym w imię braterstwa ludów będzie musiał zdać rachunek za swoją zbrodniczą publicystykę i kiedy dostanie batogiem przez swoją podłą gębę. Jeżeli w związku z tym padnie słowo „Żyd", to dlatego, że przekonany jestem, że chodzi tu o jakiegoś żydowskiego skrybę, który napewno pochodzi z jakiegoś ponurego ghetta wschodu i dlatego rozpowszechnia swoją nienawiść przeciw powalonym Niemcom. Z powyższego sądu i określeń dotyczących pańskiego ulubionego pisma nie cofam ani jednego słowa".

W konsekwencji pan Rechtsanwalt Jagenburg zawiadamia swego klienta, że jako prawdziwy Niemiec zrzeka się prowadzenia jego spraw, czym potwierdza tylko, że wspomniany numer „Nation", który wywołał jego oburzenie, był stanowczo zbyt słaby w określaniu psychiki niemieckiej.

W tym samym czasie, w tym samym Düsseldorfie i w innych miastach Niemiec ukazały się ulotki następującej treści:

„Niemcy! Rozkazy alianckich tyranów wojskowych są naszym nieszczęściem i zgubą! Umundurowany kwartet łajdaków z rady kontroli stał się naszym dręczycielem i ssie naszą krew! Ręka w rękę z tymi łotrami współpracują ich pseudoniemieccy kumple i siepacze w rodzaju Piecka, Grotenwohla, Högnera czy Auerbacha. Polityczni i kryminalni zbrodniarze opanowują dziś naszą Ojczyznę! Staliśmy się dziś obszarem (Tummelplatz) dla Żydów i Negrów, dla polskich bandytów i opryszków. Samowola niewolnictwo, bezprawie i głód zostały zawleczone przez bezlitosnego wroga w naród niemiecki. Wolą wroga jest ten stan rzeczy utrzymać! Przeto Niemcy, sabotujcie zarządzenia władz okupacyjnych!"

Komentarze zbyteczne.

m. m.

Kłamstwo o polskiej inteligencji

Nieprzejednane „Wiadomości Codzienne" w Cleveland U. S. A. spłodziły następujące kłamstwo:

„Inteligencja polska została wybita przez Niemców, zmalała w liczbie i dziś z pogardą traktowana jest w Polsce. Skutkiem braku inteligencji zabrali się do pisania tacy, którzy ledwo zdanie skleić potrafią. Widać to zwłaszcza w prasie krajowej, której koślawy żargon często mało ma wspólnego z językiem polskim".

Na te brednie odpowiada postępowa nowojorska „Nowa Epoka".

„Ponieważ czytamy dużo pism z Polski, przeto gotowi jesteśmy założyć się z „Wiadomościami Codziennymi" o tysiąc dolarów, że język polski w prasie krajowej nie tylko nie jest żadnym koślawym żargonem ale jest o wiele lepszy od języka polskiego, używanego przez „Wiadomości Codzienne".

Przyjmujecie zakład? — zapytuje „Nowa Epoka".

Jak nam wiadomo, redakcja „Wiadomości Codziennych" nie przyjęła zakładu.

bs.

O literaturze polskiej we Francji

Ostatnie miesiące we francuskiej prasie literackiej przynoszą liczne stosunkowo artykuły i wzmianki poświęcone Polsce. W styczniowym numerze mies. **„Europe"** znajdujemy przegląd współczesnej prozy polskiej, w którym wymieniono i scharakteryzowano ostatnio wydane książki Kazimierza Brandysa, Jarosława Iwaszkiewicza, Zofii Nałkowskiej, Jerzego Putramenta, Ksawerego Pruszyńskiego, Jerzego Zawieyskiego.

41 nr. mies. „Poesie" z listopada ub. r. przynosi przekłady trzech wierszy Adama Ważyka: „Aorta", „Dagerotyp" i „Szkice do pamiętników" tłumaczone przez Jean - Michel Dumarais, poprzedzone krótką biografią autora.

Tygodnik „Parallele 50" z 17 stycznia b. r. zamieszcza artykuł o poezjach Juliana Tuwima i przekład wiersza „Scherzo" pióra Berty Grodzieńskiej.

W „Les Lettress Francaises" z 12 lutego b. r. znajdujemy szczegółowe sprawozdanie z Trzeciego Walnego Zjazdu Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu z obszernie cytowanymi wyjątkami z referatu Stefana Żółkiewskiego, „La Tribune des Nations" z 19 grudnia ub. r. podaje francuski przekład opublikowanego w „Odrodzeniu" oświadczenia Jerzego Putramenta na temat obecnej sytuacji literatury polskiej.

Ostatni numer „Action" w związku ze stuleciem Wiosny Ludów, przypomina postać Mickiewicza, zamieszcza portret poety i cytuje fragment jednego z jego artykułów z „Trybuny Ludów".

im.

Nowy film Chaplina

Na zamkniętych pokazach „Filmu Polskiego" zobaczyliśmy nowy film Charlie Chaplina „Monsieur Verdoux". Jest to film tyleż świetny i potwierdzający raz jeszcze niezwykłą artystyczną inwencję wielkiego komika, co budzący sprzeciwy z powodu śmiałego i dość, jak na naszą powojenną wrażliwość — beztroskiego pomieszania rodzajów — śmiechu, satyry i głębszego znaczenia. W dyskusji, jaka odbyła się na temat tego filmu w gronie pisarzy warszawskich słusznie podniesiono, że z Chaplinem — wielkim aktorem i reżyserem stało się w tym wypadku to, co nieraz stawało się już z wielkiej miary artystami, kiedy znajdowali się u szczytu swej sławy. Zaczynali wierzyć w swoje posłannictwo, nieograniczające się do sfery działania artystycznego.

Nowy film Chaplina jest artystycznie doskonały i nikomu nie powinien wydać się gorszący, jeżeli nie uważa się społeczeństwa za dzieci w przedszkolu. Pod warunkiem, że nie będziemy go traktowali jako film dydaktyczny, do której to roli pretenduje on w sposób nieco naiwny i — mimo niezwykłej postępowej roli, jaką odgrywa Chaplin w amerykańskich stosunkach — typowo amerykański. Wydaje mi się, że tylko na tle specyficznych, amerykańskich stosunków da się zrozumieć to pomieszanie apologii zwykłego kryminalisty ze szlachetnym dążeniem do utopijnej sprawiedliwości społecznej, tylko na tle wynaturzeń życia społecznego w systemie imperialistycznym, możliwe jest pokazanie oddziaływania systemu społecznego na jednostkę właśnie w taki sposób.

W każdym europejskim filmie postępowym byłoby ono pokazane jako tragiczny i zawiły proces psychologiczny, u którego krańca mogłaby stać zbrodnia. W filmie „Monsieur Verdoux" zredukowany po trzydziestu latach pracy urzędnik bankowy zostaje z punktu wielokrotnym mordercą zamożnych kobiet, który budzi naszą sympatię odruchami dobrego serca, a po skazaniu przez sąd, wygłasza tyrady przeciwko niesprawiedliwości ustroju, stawiając pod znakiem zapytania prawo społeczeństwa do wymierzania sprawiedliwości jednostce, wolnej niejako w kapitalistycznym świecie ogólnego wyzysku i zbrodni od odpowiedzialności za swoje czyny. W ten sposób zakończenie postępowego filmu Chaplina staje się zakończeniem przypominającym nieco epilog powieści Camusa „Obcy" i może być rozumiane nie tylko jako oskarżenie niesprawiedliwego ustroju, lecz także jako zakwestionowanie prawa sądzenia jednostki przez zbiorowość, bliskie doktrynie egzystencjalistycznej.

Ale „Monsieur Verdoux" jest filmem komicznym, utrzymanym całkowicie w tonie groteski. Łzy mieszają się w nim ze śmiechem i jego dydaktyzmu nikt na widowni nie weźmie na serio. Chaplin w „Monsieur Verdoux" to, jak gdyby przewrotny Dickens. Rozczula ale i rozbraja naiwnością, i właśnie ta naiwność jest sekretem wzruszenia artystycznego, które się w nas rodzi.

Wielkim uproszczeniem jest sąd, że dzieło sztuki musi tłumaczyć się wprost, aby mieć dodatnie skutki moralne i społeczne. To nieprawda, że masowy odbiorca, widząc na ekranie naiwną apologię złoczyńcy i wzruszając się nim, pójdzie mordować i grać na giełdzie. Nie wolno nie doceniać wrażliwości najprymitywniejszego nawet widza i skomplikowanego charakteru jego reakcji na sztukę. Film Chaplina, choć prowokuje tę wrażliwość i podrażnia, bawiąc — zmusza do myślenia, a to jest ważne. Wydaje się, że wbrew niektórym pozorom jest to film pożyteczny.

r. m.

Ze „Szpilek"

W 7 numerze „Szpilek" z dnia 16.2.48. znajdujemy następujący zabawny rysunek.

Jak okazało się ze spisanego na milicji protokułu szoferem rozbitego samochodu okazał się pewien popularny felietonista jadący nieprzepisowo — pod włos.

rkm

Zasługi wydawców

W ramach planowo prowadzonej akcji wydawnictw klasycznych Sp. Wydaw. „Książka" wydała obecnie po „Czerwonym i czarnym" drugą powieść Stendhala, „Pustelnię parmeńską".

Oto więc jeszcze jedna pozycja świetnej Biblioteki Boya. Szkoda tylko, że nikt z wydawców nie podjął całości tego wydawnictwa. W ten sposób Balzac nie byłby, jak się to już stało, podzielony między dwie spółdzielnie.

Miejmy nadzieję, że Stendhal nie ulegnie rozbiorowi i że „Książka" uzupełni dotychczasową listę jego dzieł pozostałymi, mało znanymi u nas pozycjami, jak „Lucien Leuwen" i „Armance".

„Czytelnik" wystąpił z pożyteczną inicjatywą „Biblioteki Romansów i Powieści". Są to tanie, zeszytowe wydawnictwa, mające na celu popularyzację dobrej literatury. Dotychczas ukazały się trzy zeszyty, obejmujące m. in.: powieść Jeża i nowele Maupassanta. Wydaje mi się jednak, po przejrzeniu spisu autorów projektowanej biblioteczki, że nie wszystkie pozycje odpowiadają postulatom wysokich wartości literackich. Może pod tym właśnie kątem widzenia należałoby zrewidować listę autorów przeznaczonych do tej pożytecznej biblioteki?

ph.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
D-018443 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.

KORESPONDENCJA

W sprawie artykułu A. Wata

Wytrwałem — wbrew przewidywaniom Aleksandra Wata — do końca jego dużego artykułu pt. **„Antyzoil albo rekolekcje na zakończenie roku"**. („Kuźnica", nr. 127 i 128).

To doskonała lektura. Wat, wróg precyzji — słusznie mi więc precyzję zarzucający — wypowiedział taką mnogość „aproksymatywnych" — jak podkreśla — sądów, że jest w czym wybierać. Aproksymatywnie — można śmiało rzec, że wyczerpawszy wszystkie zagadnienia współczesnej literatury polskiej, poruszył nadto jeszcze kilka innych. Artykuł odznacza się pełnią, ale uzupełnioną obszernym „Listem z flotkiem" Gałczyńskiego, tak że braku „Zielonej Gęsi" jako pointy wcale się nie zauważa.

Pointa, wniosek ostateczny roztrząsań Wata dałby się — mniej więcej — ująć tak: **„Pisać byle jak, byle dużo!"**. Tak dałby się ująć sens artykułu, gdyby nie to, że autor, jak zaznacza w uwadze końcowej, świadomie czy nieświadomie przejaskrawił.

Skoro jednak przejaskrawił, a przyznając się do tego, twierdzi, że nie może nie przejaskrawić.... No, to nie może.

Nie mógł więc widocznie sprawdzić własnego pomysłu i nie przypisać go mnie. Twierdzenia (kompromitującego — jak pisze — nowatora), że „awangardzista musi umieć napisać normalny wiersz" po to, żeby go potem „udziwniać", twierdzenia takiego nie znalazł w moich „Zapiskach". Nigdy czegoś podobnego nie „głosiłem". Znalazł je we własnej głowie.

Nie mam też pretensji do autora „Antyzoila", że posługując się — przybliżonym — stylem, może wywołać wśród nieuważnych czytelników podejrzenie, że to ja podjudzałem dr J. P. Zajączkowskiego z Grójca, by sie targnął na laury Iwaszkiewicza.

Nie mam pretensji, choć — cóżby powiedział autor czarnobiałego, kontrastowego, przeciwprecyzyjnego, aproksymatywnego artykułu, że to on, Wat, rodzi J. B. Ożoga, którego artukuły polemiczne stanowią doskonałą lekturę. J. B. Ożóg pisze wprawdzie mniej dużo, ale bije sobą też — w przybliżeniu — we wszystko.

Co by na to Wat powiedział? Przypuszczalnie — zacytowałby z własnego wiersza mniej więcej to:

„Wyciągam ramiona jak polska wierzba płacząca!"

I rozciągnięty na tej swojej wierzbie, zawołałby, jak w swoim wierszu: **„Lama Sabahtani!"**.

Julian Przyboś

KSIĄŻKI NADESŁANE

Konstanty Grzybowski: Ustrój Polski Współczesnej 1944—1948, nakład. Spółdz. Pracy i Użytkowników „Czytelnik", Kraków, 1948, str. 222.

Dr Zygmunt Witkowski: Zasady Księgowości i kalkulacji fabrycznej, nakł. Księgarni Wł. Wilak w Poznaniu, Poznań, str. 133.

Dzieła Tacyta IV, przełożył i wstępem poprzedził Seweryn Hammer, nakład. Wyd. Kasy im. Mianowskiego Instytutu Popierania Nauki, Warszawa 1947, str. 328.

Antoni Opolski: Astronomiczne podstawy geografii, nakład. Wydawn. „Książnica Atlas", Wrocław—Warszawa 1948, str. 263.

Armia Radziecka wczoraj i dziś, nakład. wydawn. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1948, str. 153.

Wiersze i pieśni o Armii Radzieckiej, **oprac. Anna Gniadowska i Jerzy Lau**, nakład. wydawn. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1948, str. 109.

G. Linkow: Wojna na tyłach wroga, nakład. wydawn. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1948, str. 294.

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

UKAZAŁ SIĘ NUMER 1—2 (za miesiące styczeń-luty br.) — o następującej treści:

J. CYRANKIEWICZ — Rola dziejowa odrodzonej PPS
O. LANGE — PPS wobec sytuacji międzynarodowej
A. RAPACKI — Zadania PPS na odcinku gospodarczym
T. GŁOWACKI — Po Kongresie Wrocławskim
K. SOKOŁOWSKI — Pierwszy rok planu
J. MALINIAK — W setną rocznicę ogłoszenia Manifestu Komunistycznego
J. TOPIŃSKI — Manifest Komunistyczny i materializm historyczny
R. WOJNA — Socjalizm francuski w przededniu „Wiosny Ludów".

KARTKI Z HISTORII SOCJALIZMU

R. W. — Związek Komunistów
S. KRYGIEROWA — Światła i cienie w życiu Lassalle'a
M. ZAWADKA — Stan organizacyjny PPS w roku 1906

NA HORYZONCIE

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

IDEE — MYŚLI — ZAGADNIENIA

G. JASZUŃSKI — Przed podziałem Palestyny
A. CHEŁMIŃSKI — Czechosłowacja w 1947 r.
K. WAGNER — Na marginesie kwestii mieszkaniowej w miastach
ST. KOWALEWSKI — Zagadnienie sztabów w administracji publicznej
M. PIECIAŁ — Uwagi o literaturze powojennej
G. TIMOFIEJEW — „Polska mania" Żeromskiego
L. BUKOWIECKI — Właściwy twórca filmu
J. SKRZYPEK — U źródeł teraźniejszości
A. K. — Ekonomika przedkapitalistycznych formacji.
Z życia partii
Książki nadesłane
Notatnik referenta.

Cena numeru 60.— zł. (2771)